Nr. 26. Lwów — Środa dnia 1 Lutego. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dziennikόw ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 3.
„ przy ul. Słowackiego (obok tea. Dianv)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Nitałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1.50 | Półroczna złr. 4
Kwartalna „ 3 | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłek w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 1 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: św. Ignacego | Ewfymyja w. Jutro: NMP. Grom. | Maksyma

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 37. Zachód „ 4 „ 52

Długość dnia g. 9 m. 15. Przybyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 31 stycznia.

Dziś się otwiera przed półrokiem wybrany parlament angielski. Jest to więc ważny dzień nietylko dla Irlandyi, której smutne losy niebawem się rozstrzygną, nietylko dla Szkocyi i Walii, którym Gladstone przyrzekł różne reformy, nietylko dla całego angielskiego świata, rozrzuconego po wszystkich morzach i lądach, ale może i dla Europy całej. Albowiem nie może to być dla niej obojętnem, kto i jak rządzi czwartą częścią cywilizowanej, półcywilizowanej i barbarzyńskiej ludzkości, a także niezmierzonymi i wciąż powiększanymi obszarami.

Mowa tronowa powie zapewne niewiele. Szablonowo dotknie spraw zagranicznych, o wewnętrznych rzuci garść ogólników, może tylko dokładniej wspomni o Irlandyi i o socyalnych reformach. Więc ta mowa odrazu nie określi sytuacyi, ale zaraz potem pocznie się ona wychylać coraz wyraźniej, bo niecierpliwość stronnictw tworzących większość gladstońską jest wielka, a opozycyjny animusz torysów wzmaga się ustawicznie. Zaraz po wyborach wynosiła większość gladstońska 42 głosów, a do tej chwili, chociaż nie było jeszcze ani jednego posiedzenia, zmniejszyła się na korzyść opozycyi o głosów siedm i dziś wyraża się tylko cyfrą 35. Ten fakt rzeczywiście uprawnia torysów do nadziei, że różnolity zastęp rządowy, spojony w mechaniczną całość w imię doktryn, nie wytrzyma sprzecznych prądów, które się wytworzą podczas obrad, i rozpryśnie się, obalając Gladstona. Nie wiele do tego potrzeba. Niech się na chwilę odwrócą od rządu parnelliści, tworzący osobną grupę w obozie irlandzkim, albo socyaliści — ci i tamci równie przesadni w swych żądaniach, — a większość zniknie. Zresztą o socyalistach i deputowanych robotniczych istnieje opinia jako o ludziach w gruncie rzeczy rozsądnych, którzy żądają bardzo dużo, ale w ostateczności potrafią poprzestać na małem. Natomiast nietylko z parnellistami, ale w ogóle z całym obozem irlandzkim sprawa może być trudna. Choć to są politycy z zawodu, ale łatwo się zacietrzewiają, tracą wszelkie pomiarkowanie, biorą na kieł i krzyczą z zamkniętemi oczami: „Wszystko, albo nic!“ Nie brak między nimi ludzi zacnych, zdolnych, z charakterem i poświęceniem, lecz nieszczęściem ich jest to, że muszą ratować naród znarowiony długoletnimi spiskami, zapalny i przez to w trudnych razach pozbawiony prawdziwie politycznego ducha, łatwo ulegający podszeptom demagogicznych warchołów, których jest wielu w kraju i w parlamentarnym obozie. Parnell umiał ich żelazną ręką trzymać w karności, dziś zaś oni nie posiadają takiego naczelnika i przez swe wybryki mogą mimowoli pracować dla opozycyi. Na to się właśnie zanosi i dlatego torysi przepowiadają, że gabinet Gladstona nie przetrwa bieżącej sesyi.

Zanosi się na to, bo parnelliści żądają dla swego kraju zupełnie takiej odrębności, jaką posiada Australia, to jest nietylko osobnego parlamentu, skarbu, ministeryum, policyi, ale także osobnych pułków i osobnej floty, aby łączność Irlandyi z Anglią miała swój wyraz jedynie we wspólnej koronie. Natomiast irlandzki bill Gladstona nie idzie tak daleko. Do niedawna był on tajemnicą, tworzył szaradę, jak w Anglii mówiono, i to szaradę taką, której znakami były bardzo dziwne czyny gabinetu. Tak naprzykład, po ostatnim dublińskim zamachu dynamitowym na ministra Morleya, spodziewano się ostrych policyjnych zarządzeń, tymczasem rząd, przekonawszy się, iż ów zamach uczyniono przez zemstę za uwięzionych na całe życie dynamitardów Egana i Daly'ego, którzy w roku 1886 przygotowali wysadzenie w powietrze abbactwa Westminsterskiego, londyńskiego banku, poczty i kolei podziemnej, kazał obu tych przestępców wypuścić z więzienia, jako ludzi zasługujących na ułaskawienie. Ten czyn dowodził słabości i lękliwości rządu, więc przypuszczano, że szarada irlandzka jest ułożona w duchu parnellistów. Tymczasem parę dni temu, na zgromadzeniu liberalnem w Leicesterze, oświadczył członek rządu, jeneralny attorney (adwokat) Karol Russel, że „idzie tylko o nadanie irlandzkiemu ludowi odpowiedniej władzy do istotnego samorządu, aby mógł być panem w swych własnych, czysto irlandzkich sprawach, przyczem poczynione będą zastrzeżenia, broniące praw mniejszości (t. j. Ulsterczyków, którzy są Anglikami i protestantami), oraz interesów całego państwa“.

„Irlandya — mówił dalej p. Russel — nie otrzyma prawa werbowania choćby jednego żołnierza, albo wyekwipowania bodaj jednego wojennego okrętu. Nietknięte zostaną filary, na których wspiera się gmach jedności państwowej. Parlament dubliński będzie miał prawo nakładać podatki tylko na cele ściśle irlandzkie, natomiast podatki na cele ogólnopaństwowe, będzie uchwalał parlament londyński. Teraźniejszy bill irlandzki tem się różni od wypracowanego przez Gladstona w r. 1866, że posłów irlandzkich nie usuwa z londyńskiego parlamentu, lecz jedynie liczbę ich w nim redukuje ze stu na 35-ciu, a nadto nie tworzy osobnej irlandzkiej izby lordów, lecz pozostawia w Londynie wspólną dla obu krajów, jako obok korony drugi prawodawczy łącznik, ale w tej izbie lordów nie będą roztrząsane sprawy, należące wyłącznie do parlamentu dublińskiego“.

Dalej p. Russel wspomniał o tem, że teraźniejsza izba lordów, złożona przeważnie z torysów, jest nieprzychylna projektom gladstońskim i prawdopodobnie zechce je odrzucić. Otóż rząd tego się nie boi. „Jeśli izba lordów odrzuci projekta w tym roku, to znów je otrzyma w następnych, a jeśli i wtedy odrzuci wbrew wyraźnej woli izby deputowanych, to udowodni, że się zupełnie rozeszła z myślą narodu i stała się zawadą. Wówczas rząd pomyśli, co mu wypada uczynić“.

Rzuciwszy tę groźbę zniesienia zupełnie izby lordów, co jest postulatem radykałów, socyalistów, partyi robotniczej i londyńskich kolektywistów, rzekł w końcu p. Russel słowa bardzo rozumne: „Nie powinniśmy nigdy zapominać, że rząd nie jest instytucyą, istniejącą dla wygody tych, którzy rządzą, ale dla korzyści rządzonych. Żaden rząd ani sprawiedliwym być nie może, ani trwałym, ani pożytecznym, jeśli nie uznaje, że jego obowiązki nie są obowiązkami pana, lecz obowiązkami sługi“.

Ta zatem mowa p. Russela daje pojęcie o kierunku dwóch ważnych zagadnień: irlandzkiego i izby lordów, jako instytucyi, w której zasiadają lordowie z prawa dziedzicznego. Zagadnienie irlandzkie ma być rozwiązane rozumnie i sprawiedliwie, usuwając z Anglii ohydny cień ciemiężycielki. Zagadnienie lordowskie będzie poruszone w takim jeno razie, jeśli wyższa izba pokaże, że „rozeszła się z myślą narodu i stała się zawadą“. Od niej tedy zależy jej własna egzystencya w dzisiejszym stanie, czy też przekształcenie się w senat podług mody francuskiej.

Są jeszcze ważne kwestye: Szkocya domaga się samorządu, Walia sekularyzacyi państwowego kościoła, stronnictwo robotnicze ustawowego określenia ośmiogodzinnego dnia pracy i zatamowania napływu obcych robotników, wreszcie kolektywiści londyńscy żądają upaństwowienia kolei, tramwajów, wodociągów, przewodów gazowych, aby ludzie ubodzy mogli z tych wszystkich urządzeń korzystać bezpłatnie, tak samo, jak korzystają ze szkół i kościołów. Jak Gladstone poradzi sobie z temi żądaniami, o tem dziś nikt nie wie. Zapewne nie poradzi.

Przed zwykłym trybunałem karnym zasiądą ostatecznie na ławie oskarżonych następujący działacze republikańscy, posądzeni o nadużycia w sprawie panamskiej: senatorowie Béral, Devés, Albert Grevy (brat zmarłego prezydenta) i Renault, deputowani Dugué de la Fauconnerie, Prouste, Rouvier (niedawny minister finansów), wreszcie dawni deputowani: Baihaut (niegdyś minister robót publicznych), Gobron i Sans-Leroy.

Po zbadaniu aktów śledczych, izba sądowa uwolniła od zarzutów deputowanych Roche'a i Aréne'a. Otóż ci dwaj oświadczyli, że będą się mścili na rządzie za zbyt pośpieszne wydanie ich prokuratoryi i przez to skompromitowanie ich nazwisk. Żądają oni sądu, a nie uwolnienia dla braku dowodów i wybrali już adwokatów, którzy oskarżą przed sądem gabinet o haniebne niewinnych osób. Z drugiej strony ci, którzy mają stanąć przed sądem, również grożą zemstą. Rouvier oświadczył na korytarzu izby, że jeśli gabinet walczy przeciwko niemu dokumentami i posuwa się do ostateczności; nie zadowalnia się tem, że go obalił, ale chce jeszcze zmiażdżyć: to on odrzuci wszelkie względy i potrafi się obronić —przepaść, w którą gabinet chce go wtrącić, zasypie swymi wrogami, a łatwo to uczyni, bo także ma swoje dokumenta, które świat przerażą.

Miła kompanijka! Ale przeciwko Rouvierowi podniesiono nowe oskarżenie. Oto w 1889 r. jakiś Arab, mający tytuł jenerała, a nazwisko Hamida Ben-Aiad, przegrał proces o majątek z beyem Tunisu i wtedy udał się do Paryża, aby się starać o zwalenie wyroku algierskiego trybunału. Przez hrabiego Hérissona trafił do Rouviera, który jednak przyjął go obojętnie, aż dopiero gdy Hamida ofiarował pani Rouvierowej 50.000 fr., zajął się jego sprawą i załatwił ją pomyślnie dla Hamida. Były gubernator Algieru Billing, zmarły w roku przeszłym, zeznał to wszystko protokolarnie przed śmiercią, w licznym gronie poważnych osób. Więc i ta sprawa będzie badana przez prokuratora.

Sprawy ruskie.

W Przemyślu odbył się w ubiegłym tygodniu mały wiec ruski, zebrali się mianowicie delegaci dekanalni funduszu wdów i sierót po ruskich księżach dyecezyi przemyskiej, tudzież miejscowi politycy ruscy i naradzali się nad sprawą pogodzenia się stronnictw ruskich. Po długiej dyskusyi uchwalono, że wszystkie stronnictwa ruskie powinny trzymać się hasła: „Getrennt marschiren, vereint schlagen“.

Moskalofilski *Halyczanyn* bardzo rad jest z tego i pisze, że uchwała ta wywoła niemały popłoch między Polakami. Całkiem odmiennie zapatruje się na rzecz tę *Gazeta Narodowa*, pisze bowiem, że jeżeli kto, to właśnie Polacy jak najżyczliwiej powitaliby pogodzenie się stronnictw ruskich, t. j. narodowców z moskalofilami. Otóż przeciw temu twierdzeniu stanowczo wystąpić musimy. Od samego bowiem początku ery konstytucyjnej powtarzają Polacy przy każdej sposobności otwarcie, że pragną żyć w zgodzie z narodem ruskim, ale nie chcą nic wiedzieć o zgodzie z tym odłamem Rusinów, który dąży do zlania się z Rosyą, tj. ze stronnictwem moskalofilskiem.

Takie stanowisko zajęli Polacy przed laty trzydziestu, gdy o tak zwanej „nowej erze“ nikt jeszcze nie słyszał i stoją na niem wytrwale po dziś dzień. Jakżeż więc można mówić, że Polacy powitaliby radośnie zlanie czy pogodzenie się stronnictw ruskich, skoro takie pogodzenie się oczywiście odbyłoby się tylko przez przyjęcie programu moskalofilskiego do programu narodowców? Cały przebieg bowiem wiecu przemyskiego nie daje najmniejszej podstawy do przypuszczenia, iż odbyłoby się ono przez pogrzebanie programu moskalofilskiego, i zresztą jasną jest rzeczą, że każde zlanie się stronnictw odbywa się na zasadzie obustronnego poszanowania programów.

Zgoda stronnictw ruskich na podstawie hasła „Getrennt marschiren, vereint schlagen“, nie wywoła najmniejszego popłochu między Polakami, jak to się *Halyczanynowi* zdaje, wywoła tylko szczery żal, że dzięki zaślepieniu Rusinów, zgoda między bratnimi narodami, na której cały kraj, a najwięcej Rusini zyskaćby mogli, odsuniętą zostanie w dalekie pole, gdyż Polacy nie podaliby ręki do zgody żadnemu Rusinowi, wyznającemu zasady moskalofilskie.

Z tem wszystkiem zastrzedz się musimy stanowczo przeciw zarzutowi, jakoby Polacy trzymali się wobec Rusinów zasady „divide et impera“. Zarzut to niedorzeczny, bo przecie Polacy oświadczając, że program moskalofilski jest im wstrętny, nie mięszają się przez to bynajmniej do wewnętrznych spraw ruskich i nie wywołują waśni między Rusinami.

KORESPONDENCYE.

Zakopane 28 stycznia.

Doczekaliśmy się wreszcie nowego statutu dla tutejszego uzdrowiska.

Ustawa o zdrojowiskach i uzdrowiskach uzyskała sankcyę jeszcze w listopadzie 1891, lecz zanim przygotowano projekt statutu dla Zakopanego, i zanim wszystkie nasze władze autonomiczne i rządowe zgodziły się na wprowadzenie pewnych zmian do statutu upłynął cały rok. Wreszcie rozporządzeniem z 12 b. m. zatwierdziło Namiestnictwo w porozumieniu z Wydziałem krajowym nowy statut zawierający szereg postanowień, które wykonane należycie niewątpliwie podniosą bardzo znacznie Zakopane.

Najważniejszą zmianą w nowym statucie jest nowe postanowienie, iż sezon kuracyjny trwa rok cały i dzieli się na sezon letni trwający od 1 czerwca do 30 września i na zimowy trwający od 1 października do 31 maja.

Zaprowadzenia zimowego sezonu domagali się oddawna znakomici lekarze polscy po przekonaniu się, że pobyt w Zakopanem przez zimę bardzo skutecznie oddziaływa na stan zdrowia chorych na płuca, dlatego chorych takich na zimę tutaj wysyłają. Przez lato przebywa w Zakopanem zaledwie mały procent chorych, bo letnicy zjeżdżają przeważnie dla wypoczynku po całorocznych trudach i pracach zawodowych, dla odświeżenia umysłu wśród cudownie pięknej przyrody. Turyści mniej potrzebują wygód i opieki stacyi klimatycznej, jak prawdziwie chorzy, a tacy tylko w zimie tutaj przebywają, słuszną więc było rzeczą, ażeby i ci biedacy mieli zapewnione najniezbędniejsze wygody, jakich dotąd brakowało.

Stacya klimatyczna obejmować będzie odtąd nietylko obszar gminny, ale także i dworski. Dotąd obszar dworski nie był włączonym do obrębu stacyi klimatycznej, co się tem tłumaczy, że dobra Zakopane były w ręku obcokrajowca, który o rozwój polskiego uzdrowiska, a tem mniej o rozwój polskiej wioski wcale nie dbał. Inaczej jest dzisiaj, odkąd dobra te przeszły w ręce polskiego patryoty Władysława hr. Zamoyskiego, który nie szczędzi pracy i pieniędzy, ażeby kawała ojczystej ziemi nie zabrali nam obcy i dokłada wszelkich starań, by Zakopane, obecnie w stadyum rozwoju będące, stanęło kiedyś na tej wyżynie, na której znajdują się słynne uzdrowiska zagraniczne.

Organami stacyi klimatycznej będą: komisya klimatyczna i lekarz klimatyczny. W skład komisyi wchodzą: delegaci Namiestnictwa i Wydziału krajowego, przełożony obszaru dworskiego, naczelnik gminy, lekarz stacyi klimatycznej, ewentualnie także inspektor rządowy a nadto delegat rady gminnej, towarzystwa

---

SZARA LITERATURA.

Literatura piękna ostatniego pokolenia zeszła z koturnów romantyków, obniżając rozmyślnie lot fantyzyi artystycznej. Dawniejsi bohaterowie z piersiami „na miarę Fidyasza“, kochankowie, biorący śmiało, z narażeniem własnego życia wszystkie przeszkody, lub umierający z miłości, gdy ich okoliczności rozdzieliły przemocą od wybranej, dawniejsze w ogóle typy poetyckie, czujące głębiej i myślące szerzej, ustąpiły miejsca charakterom pospolitym, zaniedbanym zupełnie przez wychowańców romantyzmu.

Była to reakcya naturalna i w pewnej mierze słuszna. Bo literatura nie istnieje tylko dla „pięknych dusz“. Rzeczą jej odtwarzać wszystko, co podlega obserwacyi człowieka, co go otacza, z czem go los połączył tysiącami ogniw. Zarówno wielcy jak mali, mądrzy jak ograniczeni, szlachetni i podli, wytworni i brutalni należą do repertuaru sztuki, która powinna być zwierciadłem nie pewnych tylko zjawisk, lecz pełnego całego życia.

Więc ujrzeliśmy w powieści i w teatrze postacie, wzgardzone przez autorów zgasłego pokolenia, poznaliśmy zblizka pospolitą walkę o byt, jej smutki i radości, jej cele i marzenia. Od lat dwudziestu i kilku patrzymy na zabiegi kupców, przemysłowców, rzemieślników, prostych robotników i chłopów w końcu; litujemy się nad zawodami, doznanemi przez doktorów, profesorów, adwokatów, rolników i t. d. Szara powszedniość, bezbarwna codzienność, owe błędne koło, z którego dopiero śmierć uwalnia, wypełniła kilka tysięcy powieści, nowel, komedyi i t. zw. sztuk.

Kto wsłuchał się uważnie w olbrzymi koncert literatury współczesnej, dostrzega w nim jeden, bardzo wyraźny motyw (*Leitmotiv*), wracający ciągle *mutatis mutandis*. Nie miłość serca, natchnienie lub bohaterstwo w jakiejkolwiek formie ożywiają tę górę zadrukowanej bibuły, lecz... głód, na którego tyranię zwrócił światopogląd materyalistyczny główną uwagę. O byt powszedni walczą przedewszystkiem typy i charaktery poezyi mieszczańskiej. O tak zwane stanowisko, o możność utrzymania siebie i rodziny ubiegają się inżynierowie, przemysłowcy, kupcy, lekarze i adwokaci; z braku chleba wynikają smutki, żale i zbrodnie wyrobników, rzemieślników, chłopów; niedostatek pcha szwaczki, kucharki, magazynierki i t. d. w objęcia rozpusty.

Na pierwszem miejscu widzimy wszędzie głód, a dopiero na drugiem miłość, dalej próżność, zazdrość, nienawiść i t. d. O cnocie, o jasnych stronach natury ludzkiej pamiętała literatura współczesna jedynie mimochodem, jakby niechętnie.

Nie ulega wątpliwości, że głód w rozumieniu najszerszem posiada w życiu ludzkiem znaczenie pierwszorzędne, że należy mu się baczna uwaga nietylko nauki, lecz także sztuki. On bywa samowładnym panem milionów „przeciętnych“, zabierając niejednokrotnie całą ich myśl, całą energię. On kojarzy małżeństwa za pomocą posagów, czyli „wiktu i opierunku“, dla których żenią się zarówno Maćki z Psiej Wólki, jak książęta; on działa stanowczo na formowanie się charakteru, ucząc człowieka podstępu, chytrości, oszczerstwa i wszelakiej innej podłości.

Możny to pan, ale brutal, znęcający się z bezwzględnością ordynaryjnego dorobkowicza nad szlachetniejszemi, arystokratycznemi stronami natury ludzkiej. Co religia zaleca, a poezya kocha, uwielbia: poświęcenie, uczciwość, miłość bliźniego, miłosierdzie, uległość, pogardę dóbr doczesnych i t. d., to głód w postaci walki o byt usuwa na stronę jako przeszkody, przesądem nazywając.

Ztąd ów ponury ton, który wieje nad całą literaturą współczesną, owe ciągłe niezadowolnienie z istniejącego porządku rzeczy, spływające obecnie w pesymizm najlichszego gatunku.

Bo inaczej skarży się zawiedziona miłość serca, lub dusza, rozczarowana doświadczeniami życia, złamana niemocą rozumu, a inaczej żołądek, wściekły, że nie może się tak zadowolnić, jakby chciał. Serce i dusza umieją wydobyć ze swojej boleści dźwięki melodyjne, piękne, żołądek zaś potrafi tylko zgrzytać i złorzeczyć.

I ten zgrzyt, to złorzeczenie człowieka-zwierzęcia mogą olśnić, zadziwić, targnąć za nerwy, gdy wyszły z mózgu potężnego. Emil Zola odpycha, budzi wstręt, ale zdumiewa nieraz siłą swojej brutalności.

Tej siły jednakże nie wiele w beletrystyce ostatniego pokolenia. Czy głód nie posiadał w sobie dostatecznej ilości ognia, aby rozgrzać legion talentów, czy też geniusz ludzkości odwrócił się od sztuki, oddając się prawie cały nauce, która pochłonęła przedniejsze umysły drugiej połowy bieżącego stulecia, dość, że faktem jest, iż poezya dni naszych nie zdobyła się na kilkanaście chociażby dzieł prawdziwego natchnienia.

Natomiast rozlała się beletrystyka tak szeroko, jak nigdy przedtem. W przeciągu chyba kilku wieków nie wyszło w Europie tyle powieści, komedyi i „sztuk“, ile w ostatnich latach trzydziestu. Tylko dramat stał na uboczu i liryka milczała.

Rozlała się szeroko, coraz więcej szara, bezbarwna, drobiazgowa.

„Przeciętności“, powszedniości należało się niezawodnie miejsce w sztuce, bo życie ludzkie nie z samych zachwytów i zapałów się składa, ale wszechwładną panią w królestwie fantazyi artystycznej, czem ją metoda naturalistyczna zrobiła, być nigdy nie mogła. Braknie jej do tego barw żywszych, tchnień cieplejszych i polotu.

I nasza powieść społeczna, zacząwszy od pierwszych występów Orzeszkowej, siliła się na tematy najpospolitsze, obniżając rozmyślnie skalę myśli, uczuć, kolorytu, charakterystyki, języka nawet.

Człowiek przeciętny z troskami i radościami przeciętnemi stał się ulubieńcem beletrystów, wystrzegających się starannie wszelkiej siły i podniosłości.

Co miało być dopełnieniem, stało się regułą, najwyższą zasadą. Tłem „przechwyconem“ nazywaliśmy bajkę barwniejszą, przesadą romantyczną, kłamstwem potężniejsze uczucia lub śmielszy lot myśli. Charakter w rozumieniu właściwem stracił kredyt w literaturze, uznającej tylko charaktery bez charakterów.

I szarzała coraz więcej nasza literatura piękna, w miarę, jak wyczerpywał się zapas tematów z życia powszedniego. Gdy zabrakło materyału na dzieła większe, gdy oświetlono walkę o byt ze stron wszystkich, rzucono się na t. zw. szczegóły, na drobiazgowe obserwacye, na „momenty“ psychiczne, na mikroskopijne odłamki życia i otoczenia, grzęznąc coraz głębiej w płytkości i nikłości.

Najmłodsi pisarze-artyści, pozbawieni treści, którą im starsi zabrali, zwrócili zwyczajem epigonów główną uwagę na formę. Zaczęli rzeźbić i opiłowywać język, interpunktacyę nawet. Drobne słówko, nie wyrażające „ściśle“, co było powinno, drażniło ich, niewłaściwie użyty przecinek „irytował ich“.

Zdaje mi się, że to już początek końca szkoły mieszczańskiej, przesadna bowiem dbałość o formę zewnętrzną bywała zawsze zwiastunem upadku prądów artystycznych.

I byłby rzeczywiście czas, abyśmy wzmocnili szarą powszedniość silniejszemi uczuciami, szlachetniejszemi charakterami, głębszą myślą, barwniejszą bajką, abyśmy znów uwzględnili ludzi z piersiami „na miarę Fidyasza“; to bowiem, co wydaje od pewnego czasu literatura przeciętnych, stało się tak płytkie, błahe, pospolite, że już nikogo nie zajmuje.

Niedokrwistość beletrystyki współczesnej odczuwa najwięcej sprawozdawca literacki. Czyta i czyta bez końca setki nowel, szkiców, obrazków, wrażeń, powiastek, a przeczytawszy nie wie poprostu, co o tej wymłóconej słomie napisać. Takie to puste, że się nie czepia pamięci, spływając z niej, jak woda z tłuszczu; takie pospolite, że nie wiadomo, jak bajkę streścić, co powiedzieć o indywidualności autora.

Oto wydał p. Wincenty Kosiakiewicz nową powieść pt. „Rodzina Łatkowskich“ (nakład Gebethnera i Wolffa).

Jakiś ubogi szewc, Łatkowski, ożeniwszy się z cichą, skromną dziewczyną dla pięciuset rubli posagu, założył własny warsztat i sklep. Skąpy, chciwy na grosz do obrzydliwości, pracował pospołu z żoną jak wół, odmawiając sobie i dzieciom najpospolitszych przyjemności. Złotówki nie wydał podaremnie, a rubla obwijał w szmatę i chował do skrzynki.

Harując w ten sposób przez kilka lat, dorobił się domku na powiślu, na który chuchał, niby na cudo. Był przecież „gospodarzem“, właścicielem, o czem marzył, jak o szczęściu najwyższem.

Dom Łatkowskich, zabiegi szewców, brudną ich chciwość, której przeciwstawił lekkomyślność szwagra, odtworzył p. Kosiakiewicz bez zarzutu, posługując się metedą naturalistyczną.

Autor „Gąsiorkowskiego“ nie rzuca szerokich konturów, nie rysuje człowieka kilku linjami, lecz gromadzi mnóstwo drobnych szczegółów, które odsłaniają powoli charakter, tworząc przy końcu pełną całość. Takiem mnóstwem drobnych obserwacyj, podsłuchanych rzeczywiście i podpatrzonych dobrze, otacza p. Kosiakiewicz główne postacie, że jego charakterystyka osób i wypadków robi bardzo często wrażenie zapisków, zestawionych obok siebie bez porządku. Jest to tylko złudzenie, bo owe zapiski ilustrują doskonale ludzi i sytuacye.

Dopóki p. Kosiakiewicz maluje Łatkowskich i nędzne ich cele, wywiązuje się wybornie z zadania. Sfery małomieszczańskie zna, rozumie i czuje duszę: szewców, stolarzów, ślusarzów, widzi i ocenia właściwie ich niewesołą psychologię. I sceny z dziećmi przekonywują czytelnika.

Z chwilą jednak, gdy z ekspozycyi przechodzi do powieści, do więcej złożonej bajki, do misterniejszej kompozycyi, traci pewność oka i ręki.

W Łatkowskim, gdy dorobił się majątku, odezwał się człowiek spragniony życia i użycia. Wół roboczy, chciwiec, składający grosz do grosza, zakochał się bez pamięci w powabnej kawiarce Kluckiej, dla której zbankrutował i umarł.

Przewroty takie dzieją się, ale rzeczą artysty uzasadnić je, wytłumaczyć. Tu nie wystarczają już szczegóły, choćby nawet najciekawsze i najlepsze, bo teraz trzeba sięgnąć głęboko do duszy ludzkiej, wywrócić ją na nice i odsłonić jej tajniki.

Nie uczynił tego p. Kosiakiewicz, jeden z głównych przedstawicieli naszej literatury szarej, filisterskiej. Nagłą, niespodziewaną miłość Łatkowskiego zaznaczył zaledwie, nie pokazawszy ani jej początku, ani rozwoju. Czy obawiał się brutalności naturalistycznej, bo tylko zwierzęcą mogła być namiętność jego szewca, czy lękał się „przechwyconego“ tła — „przechwyconych akcentów“, dość, że zadowolnił się pobieżnem szkicowaniem tam, gdzie powinien był szeroko malować.

W porównaniu z pierwszemi powieściami p. Kosiakiewicza, należy „Rodzinę Łatkowskich“ nazwać postępem, wyższym stopniem w jego ewolucyi autorskiej. Czuć w tem nowem dziele utalentowanego nowelisty wpływ nauki. Język ściślejszy, wyrażający lepiej, pełniej myśl autora, wytworniejszy, nie grzeszy już naiwnościami, które zdumiewały w takim „J a n k u“ n. p. Kompozycya, chociaż ciągle jeszcze luźna po za granicami założenia, zaczyna się streszczać. Psychologia, polegająca dawniej tylko na zestawianiu zewnętrznych obserwacyj, pogłębiła się znacznie. Tu i owdzie odzywa się także słowo silniejsze lub błyśnie myśl oryginalna.

Jeśli mimo tych zalet „Rodzina Łatkowskich“ nie zajmie nikogo, oprócz literata z zawodu, śledzącego czy z obowiązku, czy z upodobania pochód talentów współczesnych, nie będzie to winą p. Kosiakiewicza, lecz tematu, który wybrał i metody, którą się posługuje.

Widzieliśmy już tyle „malarczkich“, słyszeliśmy tyle „tłumionych rozmyślnie akcentów“ przebrnęliśmy tak rozległe morze szarej pospolitości, że trudno się dziwić, iż nam to całe drobiazgowe, szczegółami jedynie ilustrowane życie porządnie obrzydło. Chcielibyśmy znów trochę szerzej odetchnąć, głębiej czuć — chcielibyśmy posłyszeć piękniejsze słowo i widzieć piękniejszych ludzi.

Teodor Jeske-Choiński.

tatrzańskiego, delegat gości, wreszcie delegat właścicieli zakładów leczniczych i delegat właścicieli will. Czas urzędowania delegata gości trwa jeden rok, innych delegatów 3 lata, naczelnika gminy przez czas peryodu wyborczego. Przewaga gminy zapewniona dotąd obowiązującym statutem, ustanie, gmina bowiem utraci 2 głosy. Nowymi członkami będą zastępca obszaru dworskiego i delegaci Namiestnictwa i Wydziału krajowego.

Mamy nadzieję, że hr. Zamoyski nie przez zastępcę, ale osobiście będzie członkiem komisyi, za co mu będziemy wdzięczni i poczytywać będziemy za dalszy dowód życzliwej jego pieczołowitości o rozwój uzdrowiska, spodziewamy się dalej, że delegatem Namiestnictwa będzie zamianowany p. starosta Czarkowski-Golejewski, w którym położywszy wielką ufność i nadzieję, że zaopiekuje się naszem uzdrowiskiem w ten sposób, iż kiedyś śmiało będzie mógł powiedzieć: „Zakopane to moje dzieło."

Przewodniczącym komisyi jest delegat Namiestnictwa, zastępcę obiera komisya klimatyczna z grona swoich członków.

Zakres działania tej komisyi został znacznie rozszerzony, należy do niej między innemi obowiązek utrzymywania tutaj najmu mieszkań, przestrzeganie w zamawianiu i wynajmowaniu tychże. Komisyi wolno będzie czynić wnioski co do regulaminu najmu mieszkań, co do cen mieszkań i cenników w ogóle; w tym celu dla użytku gości utrzymywaną będzie księga życzeń i zażaleń. Do niej należeć będzie zawiadowanie szpitalem, który zdaje się niebawem w Zakopanem powstanie; dalej czuwanie nad wygodnem urządzeniem mieszkań, nad dobrocią sprzedawanych artykułów żywności, nad dobrą wody do picia, nad wyszynkiem gorących napojów i nad sporządzaniem artykułów żywności w restauracyach i cukierniach.

Komisya czuwać będzie także nad czystością i porządkiem w obrębie uzdrowiska, tudzież aby zwierzchność gminna nie pozwalała na wznoszenie budowli wbrew przepisom zdrowotnym i ogniowym.

Instytucyę corocznego wiecu gości, na którym życzenia i potrzeby były przedstawiane, zatrzymano.

Taksa zdrojowa ustanowioną została na lato inna, a na zimę inna. W sezonie letnim taksa wynosi po 2 zł. od osoby, a 5 zł. od rodziny składającej się z trzech osób; każda dalsza osoba płaci 1 zł. Jeżeli będzie utrzymywaną muzyka, każda osoba nadto opłaca na nią 1 zł. W czasie zimowym pobieraną będzie taksa po 5 zł. od osoby, 10 zł. od rodziny bez względu na ilość osób.

Z dochodów, prócz dotychczasowych celów, pokrywany będzie koszt utrzymania stałej stacyi meteorologicznej.

W celu państwowego nadzoru nad wykonywaniem policyi miejsc ma być mianowany inspektor.

Lekarz stacyi klimatycznej, zatwierdzany przez Namiestnictwo, będzie miał na się włożony szereg obowiązków, określonych odrębną instrukcyą przez Namiestnictwo wydaną, a w szczególności obowiązek dążenia do asanacyi Zakopanego.

Warszawa 27 stycznia.

Magistrat warszawski opracował już projekt budżetu na rok 1893, według którego dochody miejskie wynoszą 4,037.506 rubli, wydatki zaś 4,966.716 rubli, zostaje więc deficyt w kwocie 929.207 rubli. Jednak komitet budżetowy okroił nieco wydatki i podniósł preliminarz dochodów i w ten sposób projekt budżetu da się zamknąć bez deficytu. Powodem cyfra wydatków, dosięgająca pięciu niemal milionów, stawia Warszawę w rzędzie wielkich miast, wiemy to, wiele jej jeszcze urządzeń braknie, aby stanęła na stopie równych jej ludnością miast europejskich. Weźmy naprzykład jedną z codziennych potrzeb: węgiel kamienny, jakże drogi i niedostatecznym jest dopływ tego produktu do Warszawy. Dość powiedzieć, że konsumenci pozostawieni są na łaskę i niełaskę handlarzy, którzy z dyktatorską dowolnością naznaczają wysokość cen węgla, zaraz cena jego skacze w górę, a w czasie tegorocznego niezwyczajnego zimna dwoiła się niemal. Nadto zapasy węgla nie odpowiadały zapotrzebowaniu i doszło do tego w tych dniach, że wiele magazynów wyprzedawszy cały zapas, musiały zamknąć sprzedaż, bo węgiel z kopalni bardzo powoli i niejednostajnie bywa dostarczany. Wprawdzie zarząd kolei Nadwiślańskiej, chcąc zaradzić złemu, postanowił wypożyczyć pewną ilość węglarek od obcych kolei, ale to jeszcze nie zapobiegnie złemu, a powtóre środki zaradcze należało przedsięwziąć z początkiem zimy, a nie pod jej koniec.

W Warszawie wystawy są na porządku dziennym, nie ma dnia prawie abyśmy nie mieli jakiejś wystawy, a czasem mamy ich po dwie, trzy lub kilka na raz. Tak i teraz zapowiadają „wystawę skór", jest „wystawa etnograficzna", a świeżo otwartą została „wystawa wyrobów kobiecych", przeznaczonych na wysłanie do Chicago. Zwiedzający ją wyrażają się, że wygląda „przyzwoicie", w tej pochwale mieści się zarazem bardzo surowa przygana. „Przyzwoicie" to znaczy, że wystawa nawet nam tu, w Warszawie, niczem nie imponuje, a zatem na prawdziwie imponującej wszechświatowej wystawie w Chicago zniknie zupełnie. Wprawdzie są tu ładne i ciekawe rzeczy jak n. p. wyroby włościańskie z Podzamcza hr. Zamoyskiej, z Telki hr. Zyberg-Platerowej, całość jednak nie daje wcale obrazu pracy kobiet u nas. Amerykanie gotowi sobie pomyśleć, że u nas po za malowaniem na porcelanie lub drzewie, zajmują się kobiety co najwyżej wyrobem kapturków i kaftaniczków włóczkowych dla dzieci.

Koncerty Towarzystwa muzycznego cieszą się w Warszawie zawsze wielką popularnością, ale ostatni był niezwykle ciekawym, ze względu na swój program. Była to bowiem niejako historya muzyki w Polsce, eksperymentalnie przedstawiona. Aranżer koncertu, p. Aleksander Poliński, z obfitej swej biblioteki wydobył kilka szkiców dawnej naszej muzyki i z utworami nowszych kompozytorów zestawił w całość, sięgającą od wieku XVI aż po chwilę obecną. Wieczór rozpoczął się od psalmu 64 Gomółki (wiek XVI). Po nim nastąpiło „Alleluja" ks. Gorczyckiego, znanego kompozytora z wieków XVII—XVIII (zmarł 1734 r.), pełne niewysłowionej jakiejś radości, polotu, słowem, nadzwyczaj jasne i wybitne, jako kompozycya i dwa „preambula" organowe Zieleńskiego (z r. 1548), wykonane przez p. M. Hertza na fortepianie. Prawdziwą niespodzianką dla słuchaczy była pełna świeżości i wdzięku bourre'a z wieku XVII. Z dawnej tabulatury czyli nut na lutnię ułożył ją p. Poliński na wiolonczelę i flet solo z akompaniamentem kwintetu smyczkowego. Utwór ten nieznanego autora tak się podobał publiczności, że musiano go powtórzyć. Dalej szli nowsi kompozytorowie: Kurpiński, Zarzycki, Komorowski, Chopin, Moniuszko aż do Paderewskiego i pieśni ludowych ze zbioru Glogera, harmonizowanych przez p. Noskowskiego.

Na scenie teatru Wielkiego mieliśmy niedawno ciekawego gościa z Paryża, była nim panna Ida Fuller, „tancerka-wąż" jak powiadają paryżanie, która tańcząc w stolicy Francyi wywołuje obecnie furorę takim samym tańcem p. Loie Fuller, siostra Idy, która znów wybrała się na objazdkę Europy i po drodze wstąpiła do Warszawy. Przed wystąpieniem jej zgaszono wszystkie światła w sali i na scenie.

Po chwili z głębi tych mroków wynurzyło się widmo, z początku ledwie dostrzegalne, mgliste, szare, potem stopniowo bielejące i coraz wyraźniejsze; po chwili przy świetle dwóch snopów elektrycznych ukazała się postać, osłonięta wąską do kostek koszulą z narzuconym, od szyi począwszy, olbrzymim płaszczem kolistym, którego dwa końce trzymała w rękach. Ewolucye owym płaszczem stanowią cały sekret popisu. Jest on z materyi niezmiernie lekkiej; okrągłe a szybkie ruchy rąk, opisujące najfantastyczniejsze linie krzywe nadają fałdom jej draperyi rozmaity dziwnie zmienne. Opończa zwija się w linię spiralną, tworzy motyle skrzydła, owija tancerkę jak obłok, zamyka ją w jakiejś chimerycznej muszli, rozkrzyżowywa na ramionach wiatraki, czy mgliste kształty. Chwilami światło zmienia się i kolorowe smugi padają na nią, kolejne światła elektrycznego zmieniającego barwy, ... lub jednocześnie odcienia wywołują istotnie niespodziane efekta, sprawiające, że płaszcz zmienia się w obłok barwny wietrzny i podzwrotki, że linie spiralne zdają się od samego ruchu kolorów i świateł skręcać i gnać gdzieś w powietrzu, że motyle skrzydła lśnią ogniami drogich kamieni, a obłok, mgła, przeniknione na wskroś barwistemi światłami, podnoszą się do przetopionej i rozpływającej się w przestrzeni tęczy.

O ile karnawał tegoroczny jest bez życia, o tyle znów nadzwyczaj udane, urządzane przez rozmaite stowarzyszenia, cieszą się powodzeniem i ożywieniem. We wtorek d. 24 stycznia odbyła się znowu taka reduta „na Dynasach". Wzięło w niej udział około 1200 osób, mnóstwo domin, masek charakterystycznych, a pochody ... złożyły się na wspaniałą i jak kalejdoskop mieniącą się całość. Nie brakło też prawdziwie maskaradowego humoru. Był kiełbaśnik, który częstował bezpłatnie prawdziwemi gorącemi kiełbaskami, był chodzący strumień pilznera, przybysz z nad Sprewy z psem i saneczkami, poszukujący wspólnika z „dużym kapitałem a małym rozumem", była śmierć z kosą, wesoły roznosiciel gazet, druciarze, handlarze, Turcy itd. w nieskończoność. Bardzo dowcipna dekoracya i oświetlenie, zamieniły stawek „na Dynasach" w jakiś kraj zaczarowany z bajki. Wspaniała brama tryumfalna z lodu brylantowała się w świetle elektrycznem, lodowy pałac na wzgórzu, przypominał bajeczny zamek na szklannej górze, mnóstwo świateł wszędzie rozrzuconych, wszystko to zwabiło mnóstwo uczestników zabawy i jeszcze większe mnóstwo ciekawych, którzy w formalnem oblężeniu trzymali Dynasy.

W składzie personalu teatrów naszych zanosi się na poważne zmiany. Cały szereg artystów ma się usunąć, a najdotkliwszem niewątpliwie będzie ustąpienie znakomitej tragiczki panny Chraszczewskiej, znanej pod teatralnem nazwiskiem jako panna Marcello. O przyczynach tych zmian nic na razie bliższego podać nie mogę.

Niezwykle ostra i śnieżna tegoroczna zima pozwala naszym panom, oddającym się myśliwskiemu sportowi, zabawić się w podbiegunowych albo syberyjskich myśliwców. Przytem jednakże mróz i śnieg płata im nieraz wcale nieprzyjemne figle. I tak niedawno wydarzyła się dwóm Warszawiakom pp. K. i R. historya, niepozbawiona pewnego humorystycznego zabarwienia, która jednakże o mało się tragicznie nie skończyła. Panowie ci wybrali się w miniony wtorek na polowanie za Wisłę, na terytoryum dóbr Dąbrowica. Znużeni uganianiem się za zwierzem, weszli do dołu od kartofli w celu pokrzepienia się myśliwskiem śniadaniem. Podczas biesiady zwaliła się na myśliwych ogromna zaspa śnieżna, która uniemożliwiła wyjście. Z obawy zupełnego zasypania pp. K. i R. siedzieli cicho jak mysz w dziurze. W śmiertelnej trwodze przebyli tak kilka godzin. Dopiero zmyślny wyżeł sprowadził pomoc w osobie ich przyjaciela p. H., który zaniepokojony długą nieobecnością swych gości wybrał się na poszukiwanie ich. Myśliwych po ostrożnem odgarnięciu śniegu, nad czem pracowało aż 10 ludzi, szczęśliwie wydobyto. Jednak panu R. przy wychodzeniu z dołu wystrzeliła fuzya i cały nabój utkwił w lewej ręce. Rana jest ciężka, ponieważ mięśnie są poszarpane i kość w ramieniu również nadwerężona.

Z Olkusza nadeszła tu wiadomość o pochwyceniu Wincentego Malarskiego, herszta zbójeckiej bandy, która od dłuższego czasu grasowała w powiatach: będzińskim, olkuskim, miechowskim, jędrzejowskim i włoszczowskim. Malarski skazany ongiś do ciężkich robót umknął i dobrawszy sobie towarzyszy, rozpoczął wykonywać nadzwyczaj śmiałe rozboje, napadał na dwory, plebanie, staczał formalne bitwy z broniącymi się, a grasował tem bezkarniej, że ludność wiejska bądźto przez obawę przed zemstą, bądź połączona z nim wspólnictwem, użyczała jemu i jego bandzie pomocy i ochrony. Dopiero teraz, kiedy mrozy zmusiły Malarskiego szukać schronienia po wsiach, zdołano go pochwycić wraz z całą bandą. Wszystkich odstawiono do więzienia w Olkuszu.

Z TEATRU.

(*„Wejście w świat", komedya w 3 aktach Zygmunta Przybylskiego*).

Pan Rapiński obywatel ziemski, posiadający oprócz ładnego mająteczku, także ładną córeczkę na wydaniu, przybywa do Warszawy, w czas karnawałowy, w celu wynalezienia dla swej Zosieczki odpowiedniej „partyi". Nic naturalniejszego, jak to, że na bruku miejskim opada p. Rapińskiego cała rzesza „życzliwych" ale głodnych i spragnionych przyjaciół, którzy radziby także przy tym interesie pożywić się trochę. Naprzód więc nawija się niejaki pan Hilary Szastalski, człowiek, który nic nie robi, ale jest do wszystkiego, równie, jak przezacna jego małżonka p. Ewa i jak syn jedyny tego małżeństwa Michałek, zwany pieszczotliwie z francuska „Miszlem", który żyje.. z froterowania salonów, inaczej mówiąc z tańca, z naciągania przyjaciół na weksle, z kart i z innych podobnych rodzajów pożytecznej dla społeczeństwa pracy. Owóż ten p. Szastalski podejmuje się wprowadzić córkę Rapińskiego w świat, i oczywiście jak najwięcej obłowić się przy tej sposobności, bo poczciwina golusieńki jest jak turecki święty, a życie w dzisiejszych czasach, zwłaszcza w „świecie" jest skandalicznie drogie. Z gorliwością więc, jakiejby Rapińskiemu własny brat może nie okazał, zajmuje się Szastalski „urządzeniem" go w Warszawie: urządza mieszkanie, urządza zabawy, zajmuje się wyszukaniem odpowiedniej „młodzieży", załatwia wszelkie zamówienia, na które od Rapińskiego bierze zaliczki, w sklepach jednak nie płaci, polecając rachunki posyłać Rapińskiemu, słowem „urządza" go co się zowie. Pani Szastalska swoją drogą bierze się do poczciwej, nieco przez męża zahukanej, ale serdecznej pani Rapińskiej i do Zosi, dając im wielce, jej zdaniem, pożyteczne rady i wskazówki co do obyczajów i zwyczajów w tak zwanym salonowym świecie Warszawy. Wreszcie miły synalek państwa Szastalskich, niezrównany szykowiec Miszel, dosięgający już niemal całkowicie wyżyny „schyłkowca", obowiązuje się do wyuczenia gąski, jak Zosię nazywa, salonowego *savoir vivre*'u i do zrobienia z niej królowej zabaw i balów. Ale w księdze przeznaczeń zapisane było widocznie, iż nietylko na barkach zacnej rodziny Szastalskich ma spocząć ciężar ucywilizowania wieśniaków Rapińskich i wprowadzenia ich w świat. Zjawia się bowiem równocześnie z Szastalskim i nieoceniona p. Wyrwalska, specyalistka w kojarzeniu małżeństw, a i pani Głęboszyńska, wdówka niepocieszona po stracie trzech ś. p. mężów, i uchodząca we własnem mniemaniu za królowę flirtu i mody, raczy zstąpić z swych wyżyn, ażeby Zosi dawać lekcye salonowej ogłady. Tak zmobilizowana armia najserdeczniejszych przyjaciół sprowadza do Rapińskiego „galeryjkę" stosownych „konkurentów", z których jeden lepszy od drugiego. Jest w tej galeryjce kilka dobrze znanych figur: starego kawalera, dalej schyłkowca chorującego na paraliż szpiku, kapitalisty, który wycofał się z interesu i t. p. W takiej sytuacyi rzecz dla widza arcyciekawa, jak się losy nadobnej panny Zofii rozstrzygną, tem bardziej, że w oddali, jakby groźna dla armii darmozjadów i łowców posagowych chmura, rysuje się postać Józefa Haleniewskiego, towarzysza dziecięcych lat panny Zofii i podobno najsympatyczniejszego jej sercu „chłopczyka". O tym Józefie Haleniewskim nic jednak słyszeć nie chce ojciec Rapiński, a to z powodu, że ojciec Haleniewskiego, stary kutwa, od lat szeregu prowadzi spór graniczny z Rapińskimi, których ma za bankrutów i zniszczyć do szczętu pragnie. Ale Rapiński bankrutem nie jest. Spenetrowała to dobrze pani Głęboszyńska, która na pierwszym balu u Rapińskich głośno w liczniejszem towarzystwie wymienia cyfrę posagu Zosi: okrągłych 160.000 rubli! Cyfra ta działa jak przyrząd służący do zmiany prądów elektrycznych, a działa tak przedewszystkiem na „schyłkowca" Miszla. On liczył Zosię na jakie 20, a może 30 tysięcy, liczył, że znajdzie amatora na taką „marność", amatora, który mu za pośrednictwo podpisze kilka wekselków, — a tu tymczasem wyłaniają się — krocie! Więc cóż naturalniejszego, że Miszel jest w mig zakochany, na zabój, śmiertelnie, już nie w gąsce, ale w uroczym pełnym wdzięku aniele itd. I pyszną jest scena, w której kochany Miszelek, zblazowany do dna urwisz: otwiera rodzicom swoje serce. Ojciec stary wyga, znający swego synalka jak zły szeląg, przyjmuje wyznanie syna z należytą dozą ironii, ale mama w synalku zaślepiona wierzy w „świętość" jego uczucia. Miszel jednak — to sztuka! Nie trafiwszy do przekonania ojca wyznaniem uczucia, trafia wymienieniem cyfry posagu. I oto dzieje się rzecz, której po psychologii starego Szastalskiego spodziewać się można: stary nie tylko że już nie drwi pogardliwie z syna, ale zaczyna go poprostu uwielbiać. Następuje zwrot na całej linii. Szastalski, który sprowadzał do Rapińskiego rozmaite „konkurujące" figury, zalecał je i pod niebiosa wynosił, teraz poniża je, oczernia: wszystkich odsadza od Zosi, aby dla synalka swego wolne zostawić pole. Z tego powodu przychodzi Szastalski na balu z zamaszystym Łapkiewiczem do wielkiej awantury. Z niej wywija się dość szczęśliwie, ale stanowczo powija mu się noga, gdy pragnie usunąć najskromniejszego ale najsilniejszego konkurenta — Józefa Haleniewskiego. Spaja on na balu tego młodzieńca, chcąc mu wydrzeć tajemnicę jego serca — ale, tak to już na świecie bywa, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada... Józef, jakkolwiek winem podchmielony, spostrzega się w czas i traktuje Szastalskiego, jak na to nędzna ta kreatura zasługuje... Towarzystwo całe jest mocno zgorszone zachowaniem się młodego Haleniewskiego, a Rapiński, w oburzeniu, posuwa się wśród kłótni do tego, że narusza pamięć najświętszej dla młodzieńca istoty — jego matki. Na wielce burzliwą dramatyczną scenę balową spada zasłona, zakrywając dalszy widok i zostawiając widza w niepewności, co nagromadzone na horyzoncie burzliwe chmury przyniosą. W akcie następnym horyzont się rozjaśnia: nie ma bowiem nic złego, coby na dobre nie wyszło. Stary Rapiński, po balu, spostrzega się, że poszedł za daleko, i pragnie przeprosić młodego człowieka, którego skrzywdził niesłusznie, a gdy nadto przekonywa się, że młodzieniec jest wybrańcem serca Zosienki, że nie poluje na grosz, tylko ze szczerego przywiązania chce ją pojąć za żonę, wtedy z całego serca daje młodym swe błogosławieństwo. Przy tej sposobności godzi się poczciwy szlachcic ze swym antagonistą - sąsiadem, starym Haleniewskim, i sztuka się kończy. Zasłona spada na wdzięczny obraz miłości, harmonii i zgody sąsiedzkiej — z którego zawstydzeni uciekają Szastalscy i ci wszyscy, którzy niegodziwemi środkami w egoistycznych celach zamierzali nadużyć dobrej wiary poczciwego szlachcica a Zosię zrobić ofiarą swych brudnych zamiarów.

Taką jest, w pobieżnym szkicu przedstawiona treść najnowszej pracy utalentowanego autora „Wicka i Wacka". Brak miejsca zniewala nas do odłożenia niektórych uwag krytycznych o tym utworze, o którym jednak w ogóle powiedzieć można, że w bezpretensyonalnej całości jego, zalety stanowczo górują i że gra naszych artystów, szczególnie zaś doskonała gra p. Fiszera jako Szastalskiego, zapewnia mu powodzenie na scenie tutejszej. Wróżyć o tem można także z usposobienia publiczności, która zapełniwszy wczoraj teatr po brzegi, bawiła się doskonale i wywoływała autora po każdym akcie, darząc go, równie jak artystów szczeremi oklaskami. *R. P.*

KRONIKA.

Lwów 31 stycznia.

Arcyksiążę Leopold Salwator wyjechał wczoraj do Viareggio, gdzie — jak to doniosły telegramy — zmarła onegdaj nagle teściowa jego, księżna Małgorzata, małżonka Don Carlosa, księcia Madrytu. Sp. zmarła li żyła 46 lat.

Sejmy mają być zwołane dnia 6go marca rb. na krótką sesyę.

Przeniesienie święta. Gr. kat. metropolitalny ordynaryat zarządził, aby święto „Trech Świtytelіw", przypadające w r. b. w sobotę d. 11 lutego, przeniesione zostało na piątek dnia 10 lutego i w tym dniu uroczyście było obchodzone.

Jubileusz Ojca św. W Poznaniu odbędzie się dnia 9 lutego rb. walny wiec ziemian z W. Księstwa Poznańskiego w celu naradzenia się nad sposobami uczczenia 50-letniego jubileuszu biskupstwa Ojca św. Odezwę zapraszającą na wiec podpisało kilkuset najpoważniejszych i najwybitniejszych przedstawicieli ziemian z Poznańskiego.

Ruski komitet we Lwowie, zajmujący się sprawą obchodu jubileuszu Ojca św., na onegdajszem posiedzeniu uchwalił urządzić dnia 19go lutego r. b. w sali „Domu Narodnego" koncert jubileuszowy i wybrał osobną komisyę, której polecił przygotowanie tego koncertu i przyozdobienie sali. Przyjął także i zatwierdził adres do Ojca św. wypracowany na podstawie projektu dra Bartoszewskiego przez osobną komisyę adresową, w skład której wchodzili pp.: Szaraniewicz, ks. Dolnicki, prof. Wachnianin, dr. Ogonowski, ks Toroński i dr. Bartoszewski.

Zmiana własności. Wieś Czołhańszczyznę, w pow. tarnopolskim, nabył od p. Eweliny Trzcińskiej, p. Konrad Pracowoc Glogier za 93.000 złr.

Szkołę muzyczną po śp. Marku prowadzić będzie nadal w tych samych co dotąd rozmiarach z tym samym programem, wdowa po nim, p. Marya Markowa.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Żydaczowie, z grupy większych posiadłości, odbędzie się w piątek 3 lutego rb.

Zaręczyny. Dnia 2 lutego odbędą się w C... rzenicach, w Królestwie Polskiem, zaręczyny panny Zofii Eugenii Rawicz Raciborskiej, córki Adama Bogusławy z Kaweckich Raciborskich, właściciela dóbr, z p. Leonem hr. Dzieduszyckim, synem śp. Edwarda i Józefy z hr. Łosiów, hr. Dzieduszyckich.

Śluby. Dziś wieczorem o godzinie siódmej odbędzie się w kościele św. Marcina ślub panny Filomeny Kowenickiej, z panem Feliksem Jakubowskim.

W Krakowie dnia 28 bm. o godzinie 6 wieczorem pobłogosławił JE. ks. kardynał Dunajewski książę biskup krakowski w swej kaplicy prywatnej związek małżeński panny Zofii Gebauerówny, córki śp. Aleksandra i Tekli z Psarskich, z drem medycyny Józefem Trzaską Zakrzewskim, synem Jana i Malwiny Zakrzewskich z Tarnopola. Po dokonaniu ceremonii kościelnej w serdecznych słowach przemówił ks. kardynał do młodej pary i udzielił jej swego błogosławieństwa.

Dnia 11 lutego wieczorem odbędzie się w Warszawie ślub panny Zofii Bogusławskiej, córki Władysława, zasłużonego publicysty, z p. Stanisławem Kozłowskim, zaszczytnie znanym pisarzem, autorem „Alberta wójta" i granej na naszej scenie sztuki „Kazimierz Wielki i Esterka".

Z poczty. Począwszy od 1-go lutego zaprowadza się na rucie Grzymałów-Skałat-Borki wielkie drugie połączenie do pociągów nr. 11 i 12 (Lwów-Podwołoczyska). Należytość pasażerska wynosi ... centy od osoby za kilometr jazdy.

93)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Trylicki, słuchając, kręcił się na siodle, żżymał, nareszcie zakrzyknął:

— Przestań-że waść, na miły Bóg, bo mi wątroba puchnie!

A Dąbrowski podniósł oczy do góry i rzekł z westchnieniem:

— Otóż to tak zawsze! Zaraz wątroba puchnie, a co robi głowa? Dlatego powiadam: źle, źle będzie z naszą ojczyzną!

— Kraczesz, waść! — gniewnie rzucił mu Trylicki i z miejsca ruszył galopem.

Dąbrowski spojrzał nań łagodnie i pochyliwszy siwą głowę, wpadł w zwyczajną zadumę.

Oddział rozciągnął się w długą urywaną linię. Żołnierze jechali gromadkami, gwarząc wesoło. Mijał je Trylicki, zatrzymywał się przy niektórych i wołał:

— Chwała Bogu, panowie! Już wszystkie niebezpieczeństwa w tyle zostały. Teraz tak dobrze, że i drogi nie potrzeba. Szczęśliwie poszło!

— Bogu dzięki! Bogu dzięki! — odpowiadali żołnierze.

— Do wieczoru może i lasy zobaczymy, — ciągnął Trylicki — a tam już Kamienny Pień. Ominęliśmy kraj zajęty przez wojnę, do której nam nie wtykać nosa. Pamiętajcież na popasie pięknie podziękować naczelnikowi. Jego to dzielnością przy pomocy Bożej dokazaliśmy takiego, mogę powiedzieć, cudu, że byliśmy tam, gdzie nawet orły nie zaglądają, a już co stopa ludzka, to pewnie nigdy nie bywała.

— Niech żyje wódz! — wołali żołnierze, a Trylicki jechał dalej.

Radość nie była jednak ogólna. Wołk wcale nie cieszył się z tego, że do domu blizko; nie czekało go tam nic przyjemnego, więc mówił do kompanionów:

— Obaczycie, mospanowie, że tego knura jeszcze cezarem ogłoszą, a wtedy wolność będzie za nogi wyciągnięta na mogiłki. Requiescat in pace! Niech-że im łyka idą na zdrowie, ale mnie ta perspektywa nie wabi, bom nie po to ofiarował się za ojczyznę, żebym się dostał z deszczu pod rynnę. A wy, panowie bracia, jak?

— My? — odezwał się Drygalski. — Nie ma o co pytać... Chyba imć Mefisto...

— Głupiś! — przerwał mu Ejdrygiewicz.

— Mefisto nasz... zawodu nie zrobi, — rzekł Gabruś.

— I ja mu ufam, — dodał Wołk. — Choć widzę, jest czegoś krzyw.

— Tego-m krzyw, że nic dobrego z tej secesyi nie może być. Ale słowo się rzekło! Pójdę z wami. Nawet i chłystek, który tu jest, pozna co to kawalerski parol!

— A ja na chłystków nie patrzę, — odezwał się Sołłohub. — Wyłóżcie mi rzecz, abym dokładnie wiedział, o co wam chodzi i co zamierzacie, a ja potem się zdecyduję.

— A to ci boćwinkowy braciaszek! — mruknął Rowiński.

— Bardzo nam właśnie zależy na waszeci! — zawołał Drygalski.

— Wolna droga! — dodał Gabruś.

— Mospanie! — Wołk się odezwał. — Nie było tu nic między nami skrytego. Rozbierało się, rzec mogę, sprawy publiczne głośno, każdy był dopuszczony do słowa, ilekroć sam chciał. Gdzieżeś waszmość miał uszy? I gdzie język, żeś milczeniem nasunął nam mniemanie, iżeś trzech zliczyć niezdolny, a teraz, gdy zgodną całego towarzystwa uchwałą stać się ma to, co imć pan Ejdrygiewicz niesłusznie nazywa secesyą, waszeć występujesz z jakowemś liberum veto?

— Czy z liberum, czy nie z liberum, mnie tam nic do tego. Chcecie opuścić obóz? Dobrze! Gadajcie, dlaczego? Mądrej racyi rad posłucham.

— Bo się brzydzimy niewolą, ot i cała racya, której waszeć nie rozumiesz.

— A tak i nie rozumiem. Niewoli jeszcze nie ma, tak powiadacie, ale dopiero ma być. Kiedy będzie, ja wtedy obóz opuszczę. Taka jest moja uchwała.

— Salomon nie pozazdrości jej waszeci. Wolna wola! My się wolimy asekurować zawczasu, waść wolisz po szkodzie. Żydowska, rzec mogę, spekulacya.

— Niech będzie żydowska. To już widzę, że się nie zgadzamy. Czołem waszmościom!

To mówiąc, skręcił konia, aby się od gromady oddzielić, — i odjechał.

— A kłaniaj się tam warchlakom Dzika! — krzyknął Gabruś.

— Do korytka stań z nimi, do korytka! Otóż twoje miejsce! — wołał Rowiński.

— A zaraz donieś na nas knurowi, to się w łaskę wkupisz! — huknął Drygalski.

Sołłohub zatrzymał konia — chwilę wahał się, ma-li szabli dobyć i obciąć uszy śmiałkowi, czy też płazem puścić obrazę, — wreszcie splunął.

— Dureń! — rzekł flegmatycznie i pojechał dalej, ku innej gromadzie.

Mospanowie ścigali go śmiechem i szyderstwami, ale on się już nie obracał.

Dzień, z rana pogodny i cichy, stawał się ku południowi coraz bardziej wietrznym. Biała kopica Kazbeku, wyrastająca nad wszystkie szczyty, pokryła się chmurami, które się w kłęby zwijały, to znów rozwijały, staczając się w dół, na sąsiednie grzbiety. Wiatr północny dął żołnierzom w oczy, wył, rozbijając się o skały, i w wiry się skręcał. Już i chmury zaczęły nadlatywać w ogromnym pędzie, jak spłoszone ptaki. Kropiły one deszczem, albo sypały gradem, lub śniegiem prószyły i — strzępiaste, rozczochrane — uciekały dalej, jak żeby szedł za niemi groźny pościg nawałnicy. Lecz jej nie było jeszcze, — tylko niebo jakby spłowiało, a nad ziemią toczył się wicher, ryczał w wąwozach, jęczał w górskich szczelinach, wył na płaszczyznach, podnosił na szczytach tumany śnieżne i skręciwszy je w wysokie słupy, niósł przed sobą, jak lśniące pochodnie.

Dzik patrzył na zachmurzoną głowę Kazbeku i widząc, jakie tam było wrzenie, brwi marszczył. Potem rozglądał się po okolicy, jak gdyby czegoś szukał. Nareszcie skierował konia w bok, gdzie było dość głębokie a nierozległe zaklęśnięcie gruntu, — za nim podążyli inni i niebawem cały oddział zebrał się w skalnej jamie, jakby na dnie głębokiej misy.

— Stawiać namiot! — zagrzmiał donośny głos wodza.

Wnet szerokiem kołem wbito w ziemię włócznie, przeciągnięto między niemi sznury i na nich zaczęto rozpinać żaglowe płótno, którego po jednym brycie wiózł każdy żołnierz. Bryty miały w około dziurki, obszyte skórą; przewlekano więc przez nie mocną plecionkę z włosienia i tak zrobiono dach, trochę podniesiony w środku, na pęku włóczni związanych razem. Potem zaczęto przypinać płócienne boki, których dół przybijano do ziemi żelaznemi szpilkami. Tak powstało coś podobnego do cyrkowej budy, — namiot na cały oddział z końmi i żywnością.

Tymczasem Dzik, stojąc opodal na wyniosłym pagórku, oczu nie spuszczał z Kazbeku, a właśnie z piersi tego olbrzyma zaczęły zsuwać się ciężkie płowe chmury, jak się okręta zsuwają na wodę. I jak te okręta pod rozpiętemi żaglami wnet zaczynają próć gładką powierzchnię rozcieczy, tak i te chmury kłębiąc się leciały po niebie, jakby na skrzydłach. Przed niemi w górze ciemniało powietrze, w dole ryczał wicher i wirowały słupy śnieżnej zamieci.

Dzik zbiegł z pagórka, obejrzał namiot i zakrzyknął:

— Obłóżcie spód kamieniami! A żywo!

Potem do pana Władysława się zwrócił:

— Straszliwa będzie nawałnica!... Żeby nam nie zerwało tej budy..

Zbliżył się Trylicki, więc spytał go wódz:

— Wszyscy są?

— Wolentarska odjechała.

Dzik brwiami ruszył. Twarz mu poczerwieniała, oczy błysnęły, potem frasunek osiadł na wysokiem czole, — utkwił wzrok w dal pustyni i pytał:

— Gdzie odjechali? kiedy?

— Całkiem nie zboczyli ku tej kotlinie, jeno ruszyli prosto, a cwałem, jak żeby się spodziewali naszej pogoni i chcieli ujść przed nią.

— A może nie widzieli, żeśmy z drogi zjechali?

— To nie, — odezwał się za plecami Dzika głos Drygalskiego.—Umówili się porzucić obóz i mnie ciągnęli, alem nie głupi. Zaraz doniosłem panu Trylickiemu, co się stało, — cóż kiedy już było za późno!

Dzik patrzył w ciemniejącą dal, podnosił oczy ku obłokom, rozważał i jakby się przekonawszy, że pościg jest niemożliwy, pochylił głowę i tylko ręką machnął.

— Niech-że ich Bóg strzeże od wszelkiego złego! — wymówił cicho.

Ale w tej chwili rozległ się tętent koński — jeździec wyrwał się z namiotu i pomknął w pustynię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawy szkolne. Ministeryum oświaty zatwierdziło opracowane przez Radę szkolną krajową nowe plany nauki dla galicyjskich szkół ludowych pospolitych i wydziałowych żeńskich.

Sprawa konwersyi galicyjskiego długu indemnizacyjnego tudzież wszystkich innych długów krajowych została wczoraj ostatecznie załatwioną na posiedzeniu Wydziału krajowego pod przewodnictwem marszałka. Podpisano mianowicie ostateczną umowę między Wydziałem krajowym a grupą banków pod przewodnictwem Unionbanku o sfinansowanie nowej czteroprocentowej pożyczki krajowej w sumie 58,850.000 koron, mającej służyć na umorzenie długu indemnizacyjnego i innych długów krajowych. Imieniem grupy banków podpisali kontrakt jej pełnomocnicy: dyrektor banku hipotecznego p. Lazarus i sekretarz Unionbanku p. Feldman.

Równocześnie podpisano drugą umowę między Wydziałem krajowym a rządem, zawierającą nowy obrachunek wpłat uskuteczniać się mających z jednej strony przez rząd tytułem subwencyi na umorzenie długu indemnizacyjnego, z drugiej strony przez kraj tytułem zwrotu długu do skarbu państwa, uznanego w ugodzie indemnizacyjnej. Według tej ugody bowiem miało państwo aż do roku 1897 płacić krajowi tytułem subwencyi przeszło dwa miliony rocznie, a od roku 1897 rozpocząć się miała spłata długu należnego państwu przez kraj. Gdy obecnie przeprowadzono nowy obrachunek między państwem a krajem, którego rezultat jest ten, że państwo będzie odtąd płacić krajowi mniejsze raty roczne, ale przez czas dłuższy.

Wszystkie będące jeszcze w obiegu galicyjskie obligacye indemnizacyjne z ostatnią [illegible] wypowiedziane, a kapitał za nie wypłacony zostanie dnia 1 maja. Właściciele wszystkich winkulowanych obligacyi indemnizacyjnych powinni we własnym interesie postarać się jak najrychlej u kompetentnych władz o ich dewinkulacyę.

Szkoła śpiewu państwa Souvestre-Paschalis. Muzykalny świat Lwowa jest od paru dni w prawdziwej i zupełnie usprawiedliwionej gorączce. Doniosły mianowicie pisma warszawskie, że państwo Souvestre-Paschalis zwijają swoją szkołę śpiewu we Lwowie i przenoszą się do Warszawy. A radość, z jaką przyniosły tę wiadomość owe pisma, równa się chyba żalowi, z jakim nam wypada zakomunikować tę smutną nowinę naszym czytelnikom.

Bo w samej rzeczy ta znakomita para pedagogów-artystów postanowiła od przyszłej jesieni opuścić miasto nasze i osiedlić się w Warszawie. Skłania ich do tego okoliczność, że chcąc swoją szkołę skutecznie prowadzić, potrzebują oni teatru, w którym debiutowaliby ich uczennice. We Lwowie, — z powodów, w które my wglądać nie możemy, i o których przecie nie możemy żadnego wypowiadać sądu, — stosunki między szkołą państwa Souvestre-Paschalis a dyrekcyą teatru nie były dotąd tego rodzaju, iżby te dwie instytucye wspierały się nawzajem i wspólnie pracowały nad wykształceniem zastępu polskich śpiewaczek i śpiewaków.

Dyrekcya teatru za drogie pieniądze sprowadzała artystów i artystki z Włoch, a szkoła państwa Souvestre-Paschalis stała odosobniona i była w tem przykrem położeniu, że nie mogła uwieńczyć swej pracy przez doprowadzenie uczennicy lub ucznia aż do debiutu. Dzisiaj np. posiada ta szkoła dwie śpiewaczki, jedną koloraturową a drugą dramatyczną, doprowadzone już do tego szczebla w nauce, że należy je wprowadzić na scenę. Za rok będą państwo Souvestre-Paschalis mieli gotową trzecią śpiewaczkę. Dla tych trzech potrzebują teatru, bo przecież nie mogą [illegible] — i właśnie dlatego przenoszą się do Warszawy.

Bez obwijania rzeczy w bawełnę powiedzieli [illegible] przysłużymy się [illegible] teatrowi [illegible] i szkole. Dyrekcya teatru w dobrze zrozumianym swym interesie zechce podać rękę instytucyi, która nas może uwolnić od potrzeby szukania śpiewaczek we Włoszech, skąd [illegible] przybywają do nas nie najlepsze siły; a państwo Souvestre-Paschalis, mając we Lwowie to, czego potrzebują do rozwoju swej szkoły, nie będą porzucali miasta, które ich taką powszechną otacza sympatyą i tak wysoko ich talent i pracę ceni.

Koncert na pomnik Grottgera. W Krakowie utworzył się komitet, który postanowił postawić pomnik najgenialniejszemu z poetów-rysowników Arturowi Grottgerowi. Myśl ta znalazła jak najżyczliwsze poparcie u ogółu, a [illegible] odbył się w Krakowie koncert, z którego czysty dochód przeznaczony był na budowę pomnika. Koncert powiódł się świetnie i przyniósł znaczny dochód. Program jego składał się wyłącznie z utworów muzyki polskiej. Między innemi wykonano także utwory dwóch muzyków lwowskich: „Kolędy" p. St. Niewiadomskiego i „Pieśni ludowe" p. Sołtysa. Krytycy muzyczni krakowscy o obu lwowskich kompozytorach wyrażają się jak najpochlebniej, publiczność zaś na koncercie [illegible] darzyła ich oklaskami.

Z „Kolend" Niewiadomskiego największy sukces odniosły kolędy „Lulajże Jezuniu" i „W dzień Bożego Narodzenia".

Powszechnie bardzo się podobały „Pieśni ludowe" p. M. Sołtysa, nagrodzone w r. z. pierwszą nagrodą na konkursie warszawskiej „Lutni". Krytyk muzyczny N. Reformy pisze o nich: „Wielce oryginalny charakter posiadają „Pieśni ludowe" Sołtysa na chór mięszany z orkiestrą. Piękna i szczerze podana melodya bardzo ładnie wychodzi w interpretacyi zbiorowej, nie [illegible] jej ludowego charakteru."

Znakomity krytyk muzyczny dr. Franciszek Bylicki twierdzi w *Czasie*, iż utwory p. Sołtysa świadczą, że autor ich posiada niewątpliwie wielki talent.

„Utwory te — pisze — należy uważać za zapowiedź, iż młody kompozytor niejedną piękną rzecz napisze. Publiczność gorąco je przyjęła i kilkakrotnie wywoływała autora."

Z Krakowa nam donoszą: W niedzielę odbyło się w domu państwa [illegible] w pałacu Spiskim świetne przyjęcie, w którem wzięło udział blisko 500 osób ze wszystkich prawie sfer towarzyskich, gdyż obok arystokracyi licznie reprezentowany był stan urzędniczy, duchowieństwo, sfery literackie i artystyczne i stan wojskowy. Zebranie [illegible] przyjęcia Badenich w pałacu Spiskim, przodujące przez długie lata całemu ruchowi towarzyskiemu w Krakowie i będące ogniskiem łączącem wszystkie sfery. Ustały one dopiero w skutek braku gospodyni, ale teraz [illegible] można się spodziewać, że Kraków odzyska na nowo jedno z [illegible] ognisk towarzyskich.

„Sokół". Na dochód budowy drugiej sali gimnastycznej urządza „Sokół" interesujący wieczorek wokalno-deklamacyjny połączony z produkcyami gimnastycznemi we czwartek dnia 2 lutego. Program części artystycznej zawiera utwory Moniuszki, Żeleńskiego, Galla, Niewiadomskiego i Dietza. Współudział „Harmonii". Początek o godzinie 6 wieczorem.

Załażenia na kasę chorych m. Lwowa są coraz liczniejsze. Instytucya ta nawet w części nie ziszcza nadziei, jakie żywili prawodawcy, powołując ją do życia. Staje się ona prawdziwym ciężarem ubezpieczonej w niej ubogiej ludności robotniczej. Wkładki bowiem należne kasie, opłacać musi robotnik jak najpunktualniej, a opłacać je musi bez względu na to, czy chce należeć do kasy, czy też nie, z drugiej strony jednak, ta kasa, która wymaga od swych członków takiej akuratności w płaceniu wkładek, wcale nie jest punktualną w niesieniu im pomocy, gdy zachorują. Oto kolporter z księgarni Altenberga p. Emil Rummel v. Rummborg, żali się nam, że gdy w styczniu obłożnie zachorował i synka swego posłał do kasy z prośbą, aby mu bezzwłocznie lekarza przysłano, przez dwa dni napróżno czekał, ażali gorąco upragniony lekarz się nie zjawi. Trzeciego dnia widząc, że prawdopodobnie wcale się go nie doczeka, zwlókł się z łóżka i poszedł do kasy, aby tam dać się opatrzyć lekarzowi, ale i tu biedak nie miał szczęścia, powiedziano mu bowiem, że pan konsyliarz dopiero za godzinę przyjdzie. Tego było mu już za wiele, odszedł więc do domu z silnem postanowieniem nie korzystania więcej z dobrodziejstw kasy i leczenia się na własne ryzyko.

Takie skargi dochodzą nas ustawicznie i gdybyśmy chcieli je wszystkie podnosić, musielibyśmy dla nich stałą rubrykę w naszem piśmie otworzyć. W ogóle jednak podnieść musimy, że ogół nabiera coraz więcej przekonania, że instytucya kasy chorych jest chybioną i że należy wszystkiemi siłami dążyć do jej zniesienia, a zastąpienia jej n. p. kasami zawodowemi, zostającemi pod ściślejszą kontrolą szczupłego grona ubezpieczonych.

Rocznica powstania. Dnia 28 stycznia odbyło się w Kochawinie przed cudownym obrazem N. P. Maryi nabożeństwo za poległych w 1863 roku z inicyatywy księdza Trzopińskiego, który nie szczędzi trudów i pracy, by na każdym kroku wskrzeszać uczucia narodowe. Odprawiło solennie nabożeństwo kilku okolicznych księży. Łzy cisnęły się do oczu, gdy przy odpowiednio przybranym katafalku licznie zebrany lud wraz z całem okolicznem obywatelstwem klęcząc odśpiewał: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!"

Zgromadzenie tygodniowe Towarzystwa politechnicznego we Lwowie odbędzie się jutro dnia 1 lutego o godzinie 6 wieczorem w lokalu Towarzystwa, Rynek l. 30.

Z Jarosławia donoszą, iż wali się tam wybudowany w roku zeszłym gmach sądowy, będący własnością żyda Hirta. Komisya budownicza zbadawszy gmach cały skonstatowała niebezpieczeństwo.

Polowanie. W Lubieniu i Humieńcu u baron. Brunickich odbyło się dnia 26, 27 i 28 bm. polowanie, na które przybyli między innymi arcyksiążę Leopold Salwator i książę Filip Koburgski z Wiednia. Zabito 6 dzików, 0 rogaczy, 10 lisów, 160 zajęcy i 1 puhacza.

Kradzież na poczcie. Na głównej poczcie w Krakowie zginął adresowany do Wrocławia list polecony, który, jak się pokazało, zawierał 3000 rubli i 800 marek. List ten był zaasekurowany. Poszlakowanego o tę kradzież urzędnika pocztowego aresztowano w sobotę.

Samobójstwa. Wczoraj zastrzelił się we Lwowie Bronisław Bułharyn, prywatysta, uczeń IV-tej klasy gimnazyalnej, liczący lat 15. Przyszedł on wczoraj do mieszkania dwóch swych znajomych przy ulicy Ossolińskich liczba 6, a nie zastawszy ich w domu wysłał służącego do apteki, poczem zdjął wiszący nad łóżkiem rewolwer i strzelił sobie w skroń. Śmierć nastąpiła bezzwłocznie. Powodem rozpaczliwego czynu była nieuleczalna choroba.

W Czernichowie otruł się kwasem karbolowym Dymitr Rozdolski, nauczyciel ludowy z Jeziernej. Przyczyna samobójstwa nieznana.

Walne zgromadzenie członków Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza odbędzie się w sobotę tj. dnia 4 lutego o godzinie 7 wieczorem w gmachu sejmowym, w sali „Macierzy Polskiej" (1-sza sala komisyjna).

Dokładna informacya. W numerze 1 *Naszej sztuki*, dwutygodnika poświęconego „sztuce plastycznej, teatrowi i muzyce", znajdujemy następującą kapitalną notatkę, powtórzoną z pism amerykańskich: „Helena Modrzejewska bawi ponownie w Chicago i występuje w Opera House. Miejscowe pisma zachwycają się wraz z całą publicznością kreacyą jej „Maryi Stuart" i nazywają Modrzejewską jedyną artystką, która genialnością wykonania legendowej postaci (!) stoi na równi z genialnym jej twórcą Szekspirem". (!!) — Nazwać Maryę Stuart, która dała głowę pod topór katowski postacią legendową i nie wiedzieć kto jest autorem tragedyi na jej losach osnutej, to już doprawdy.... sztuka.

Z marzeń i snów, pełen melodyjności i prześlicznych motywów walc na fortepian, ukazał się świeżo na wystawach księgarskich. Autorem jego jest p. Ludomir Koehler, znany zaszczytnie artysta-malarz i pełen zamiłowania muzyk.

Z Czerniowiec piszą nam: Koło pań „Towarzystwa szkoły ludowej" istniejące w naszem mieście, odbyło dnia 25 b. m. walne zgromadzenie. Oprócz sprawozdania z działalności dotychczasowego zarządu, obradowano nad wielu ważnemi kwestyami, między innemi oświadczono się przeciw utworzeniu osobnego koła w Suczawie, gdyż rozdrabnianie działalności „Tow. szkoły ludowej" w kraju, gdzie jest wszystkiego 32.000 Polaków, nie wpłynęłoby korzystnie na rozwój instytucyi. Obradowano też nad sprawą nauki języka polskiego w Łuczce i Rohożnie. Dawniej uczył tam po polsku jeden z nauczycieli sadagórskich, za co pobierał od „Towarz. szkoły ludowej" osobną pensyę, obecnie nauczyciela tego przeniesiono gdzie indziej i nauka języka polskiego ustała. Zgromadzenie więc poleciło Wydziałowi dołożyć starań o znalezienie nauczyciela, któryby podjął się tych wykładów.

W tych dniach usiłowała odebrać sobie życie w mieście naszem, przez otrucie fosforem, 16-letnia panienka P., która mieszkała tu z matką, jednak dzięki szybkiej pomocy lekarskiej, uchroniono biedne dziewczę przed śmiercią. Przyczyna rozpaczliwego kroku nieznana.

Zmarli. Ks. dr. Jan Turley, były profesor teologii dogmatycznej w seminaryum tarnowskiem i proboszcz w Porąbce Uszewskiej, umarł w Bochni w 69 roku życia a 43 kapłaństwa. — Michalina Sznajderowa, przeżywszy 28 lat, umarła w Stanisławowie. — W Brodach umarł Jan Pilch, emerytowany sekretarz starostwa. — W Samborze umarł Filip Heller, długoletni zarządzca samborskich młynów hr. Łasickiego. Pochodził z Hanoweru, osiadłszy jednak w naszym kraju w roku 1870, zaaklimatyzował się zupełnie, czego najlepszym dowodem jest, że na kilka dni przed śmiercią przyjął wiarę katolicką, a sporządzając testament, zapisał 400 złr. na ubogich miejscowych. Dla robotników był prawdziwym ojcem. — W Massalanach, w pow. grodzieńskim na Litwie, umarł ordynat Jan Biszping.

Ofiary. Na skutek odezwy Polek ogłoszonej przed kilku dniami w naszem piśmie, a zapowiadającej pracę naszych pań nad ludem, otrzymaliśmy od pani Eulalii Koeppel 10 złr. jako pierwszą ofiarę na ten cel.

Na zupę rumfordzką złożyli w handlu Ign. Drexlera i Synów przy placu Kapitulnym:

Hr. Gołuchowski z Łosiacz zł. 50; M. R., S. Serwatowska, F. H., Hauser i Bieniedzki po 5 zł.

Od 22 do 28 bm. rozdano 1736 porcyi zupy i 1736 porcyi chleba.

Stan powietrza. Termometr — 1° Reaum. o godzinie 7 zrana, a w południe + 1 stopni R. Wczoraj wieczorem o godz. 7 było — 5 stopni R. Barometr 767. Spada. Dziś dzień pochmurny, śnieg, odwilż.

Jacy bywają recenzenci? Znany humorysta, p. Kaźmierz Bartoszewicz, odpowiada tak na to pytanie: Dwojakiego rodzaju są recenzenci. Jedni, niżsi, podlejszego gatunku piszą: głos pani Y. jest jeszcze niewyrobiony, albo pani Y. szepleni, mówi niewyraźnie, albo głosowi pani Y. brak siły i melodyjności, albo: pan Z. zbyt krzyczy tam, gdzie nie potrzeba, albo: pan Z. ma głos dźwięczny, miły, lecz psuje go nienaturalnością. Drudzy krytycy, wyżsi, znakomitsi, nie poprzestają na tak prostych określeniach. U nich głos „ma tendencyą", u nich pan Z. ma głos „źle postawiony", u nich, „z altowej podstawy wyrywają się ciągle w górę falsetowe dźwięki". Przyjdą jeszcze nowi krytycy, najznakomitsi, i będą pisali; „głos pana A. mając basowe podwaliny w przewodzie chrząstkowo-błotniastym, wpadając do krtani potrąca o umieszczone w niej poprzecznie cienkie sprężyste blaszki, które wprawione w drganie mocą prądu powietrza, dają początek tej niezwykłej melodyjności. Słuchacz jasno poznaje, że artysta pracował usilnie nad swemi chrząstkami nalewkowemi. O ile możemy zaopiniować, szpara pomiędzy chrząstkami wiązadeł nie przenosi u artysty w najszerszem swojem miejscu 1·89 mm. Wybitne spółdrganie klatki piersiowej, daje nam niepłonną nadzieję, że długo jeszcze cieszyć się będziemy tym głosem, na scenie naszej prawdziwie wyjątkowym".

Teatr. Dziś we wtorek (dnia 31go stycznia) w teatrze hr. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem: „Marta", opera w 4 aktach Flotowa. Występ pny Biondelli i pp.: Aleksandra Myszugi i Juliana Jeromina. — Jutro we środę (dnia 1go lutego): po raz drugi: „Wejście w świat", komedya w 3 aktach Zygmunta Przybylskiego.

Część ekonomiczna.

§ **Handel z Szwajcaryą.** Wskutek wojny cłowej między Francyą a Szwajcaryą otwiera się szerokie pole dla nas do handlu ze Szwajcaryą. Szwajcarya bowiem nie ograniczyła się jedynie na zastosowaniu swej taryfy jeneralnej w obec wyrobów francuskich, ale podniosła wysokie pozycye tej taryfy od wielu artykułów do wysokości podwójnej, trzykrotnej, a nawet sześciokrotnej, w obec czego cła te równają się cłu prohibicyjnemu. Niemcy, Anglia, Włochy i inne państwa, którym zarówno jak Austro-Węgrom przysługuje w Szwajcaryi prawo państw najwyżej uwzględnionych, krzątają się też pilnie, by ile można skorzystać z tej wojny cłowej i w miejsce wyrobów francuskich, wprowadzić własne towary do Szwajcaryi. Austro-Węgry starać się więc muszą usilnie, by państwa te ich nie ubiegły i w tym celu corychlej zawiązywać stosunki z importerami szwajcarskimi. Dla ułatwienia zawiązania tych stosunków, urządza austryackie Muzeum handlowe expozyturę swoją w Zurychu, której zadaniem będzie udzielać bezpłatnie (za zwrotem tylko porta pocztowego 10 ct. w markach listowych) informacye o stosunkach zbytu rozmaitych artykułów w Szwajcaryi, wymieniać interesentom importerów i zastępców, udzielać informacyi o stosunkach cłowych, tudzież o stosunkach majątkowych firm, nareszcie dostarczać za zwrotem kosztów, wzorów towarów, mających pokup w Szwajcaryi. Zwracając uwagę interesentów na powyższe dla handlu naszego ze Szwajcaryą nader ważne zarządzenie Muzeum handlowego, lwowska Izba handlowa i przemysłowa nadmienia, że wszystkie odnośne pisma do Expozytury adresować należy: „Expositur des k. k. österr. Handels-Museums in Zürich".

§ **Giełda zbożowa.** Wiedeń 30 stycznia. Ceny zboża spadły o 3 do 8 centów. Pszenica na wiosnę 7·65, żyto na wiosnę 6·69, owies na wiosnę 5.93.

§ **Targ zbożowy.** Lwów 31 stycznia. Pszenica 7·25—7·75, żyto 6·00—6·25, jęczmień 5·00—5·50, owies 5·25—5·75, rzepak nowy 10·75—11·25, groch 6·50—10·—, wyka 5·00—5·25, nasienie lniane 10·0 do 10·50, bób 0.00—0.00, bobik 4·75—5·25, hreczka 7·00—7·6, koniczyna czerwona 67·00—74·—, biała 75·00—85, szwedzka 65·00—78·—, kminek 18·—20·00, anyż 36·00—38·—, kukurudza stara 5·30—5·70, nowa 0·00—0·—, chmiel za 56 kg. 65—85, spirytus 13·75—14·—. Nowy spirytus na zimowe miesiące —·00—00.—.

Usposobienie cokolwiek lepsze

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 31 stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu Izby posłów postawił p. Hauck wniosek o zmianę §. 15 ustawy o stowarzyszeniach, poczem Izba przeszła do debaty szczegółowej nad budżetem oświaty, rubryką „zarząd centralny".

P. Sokol skarżył się na upośledzenie szkolnictwa w okolicach, zamieszkałych przez Słowian. Zasadą rządu jest: Im więcej Słowian, tem mniej szkół. Tak samo dzieje się Słowianom na Węgrzech. Nie mają oni tam żadnej opieki. W okolicach czysto słowiańskich są szkoły węgierskie i funkcyonują węgierscy urzędnicy. Ośmnaście milionów Słowian zamieszkujących Austro-Węgry, jest przedmiotem ustawicznego drażnienia.

P. Kronawetter wystąpił przeciw sobotniej mowie ministra Gautscha i nazwał ją formalną kapitulacyą biurokracyi przed klerykalizmem. Następnie wywodził mówca, że zasada bezwyznaniowości szkół okazała się bardzo dobrą we Francyi i w Ameryce i da się przeprowadzić bez obrażania uczuć religijnych. Reakcya robi u nas gwałtowne postępy. Między robotnikami nie ma zdaniem p. Kronawettera ani klerykałów, ani antysemitów, zasady te wyznaje tylko mała cząstka drobnych przemysłowców, urzędników i nauczycieli i to tylko z egoizmu.

Krytykując klerykalizm w szkołach, rzekł p. Kronawetter: „Jak może dziecko pojąć, co to znaczy: owoc żywota dziewicy?"

W sali powstał wielki niepokój, a przewodniczący dr. Kathrein, przerwał mówcy słowami: „Proszę opuścić ten temat, nie mogę pozwolić, abyś pan w ten sposób odzywał się o rzeczach, najświętszych dla nas chrześcijan". (Huczne oklaski).

P. Doetz przemawiał przeciw utworzeniu czeskiej szkoły ludowej i przemysłowej w Gmund.

P. Ebenhoch oświadczył, że uznaje to, iż zmiana ustaw szkolnych w drodze ustawodawczej jest obecnie niemożliwa zastrzegł się jednak, że stronnictwo katolicko-konserwatywne w stosownej chwili postawi wniosek o zaprowadzenie szkół wyznaniowych.

P. Massaryk krytykował przepełnienie szkół i przeciążenie pracą nauczycieli. Zaprowadzenie wyznaniowej szkoły ludowej ma na celu uczynić całą naukę wyznaniową, a przez to nastałby, zdaniem mówcy, kompletny przewrót w zapatrywaniach na świat. Stronnictwo mówcy pragnie tylko swobody, a osobliwie na polu szkolnictwa.

Na tem przerwano debatę.

P. Steinwender wniósł do ministra finansów interpelacyę w sprawie zawiązać się mającego ringu rafineryi nafty i zapytał, co rząd zamierza uczynić w celu ochrony ludności i finansów państwa przed kartelami wielkich producentów.

Następne posiedzenie odbędzie się dziś.

Wiedeń 31 stycznia. Książę bułgarski przybył tu wczoraj z Monachium.

Vaterland donosi, że Cesarz nadał nuncyuszowi Galimbertiemu wielki krzyż orderu św. Szczepana.

Petersburg 31 stycznia. Carewicz przybył tu wczoraj przed południem.

Dochody banku państwowego były w r. 1892 o 152,402.000, a wydatki o 105,399.000 rubli większe aniżeli w roku 1891.

Budapeszt 31 stycznia. W węgierskiej fabryce broni wybuchnęło bezrobocie, jak się zdaje, od dawna przygotowywane. Panuje powszechne przekonanie, że impuls do bastówki dali pruscy robotnicy, zajęci w tej fabryce, a przeważnie socyaliści. Wnosić to można między innemi stąd, że pewne pismo robotnicze, wychodzące w Berlinie, jeszcze 26 stycznia doniosło, iż 30 wybuchnie bastówka i tak się rzeczywiście stało. Wczoraj rano przybyli wszyscy robotnicy do fabryki o zwykłej godzinie, poczem deputacya złożona z trzech robotników udała się do dyrektora fabryki podpułkownika Kuhna i wręczyła mu petycyę o podwyższenie płac i modyfikacyę regulaminu roboczego. Podpułkownik oświadczył deputacyi, że nie ma co liczyć na uwzględnienie tych postulatów, gdyż robotnicy płatni są bardzo dobrze, a wielu z nich zarabia po sześć reńskich dziennie. Po tem oświadczeniu dyrektora, zaprzestał cały personal robotniczy, składający się z 1500 ludzi, pracować i udał się do pobliskiej miejscowości Erzsebetfalva.

Nie przyłączyli się do bezrobocia tylko robotnicy zajęci w kuźni i w warstatach technicznych, wszelako przywódzcy bastówki nie dali im pracować.

Policya przedsięwzięła stosowne zarządzenie, aby ci robotnicy, którzy nie chcą brać udziału w bezrobociu, nie byli przemocą odrywani od pracy.

Paryż 31 stycznia. Wczoraj odbył się pojedynek Pichona z Derouledem. Obaj zapaśnicy odnieśli lekkie skaleczenia. Pichon w biodro, a Deroulède w twarz.

Ankieta panamska odrzuciła 15 głosami przeciw 10 wniosek o ustanowienie jeneralnego sprawozdawcy, gdyż kilku członków ankiety wystąpiło z zarzutem, iż nie ukończyła ona jeszcze swego zadania.

Berlin 31 stycznia. *Reichsanzeiger* ogłasza reskrypt cesarski do kanclerza Capriviego, w którym cesarz dziękuje za życzenia złożone mu w dniu urodzin, w szczególności za wypowiedziane przy tej sposobności zapewnienia miłości ojczyzny i gotowości do ofiar i wyraża nadzieję, że usiłowania dążące do zabezpieczenia obrony ojczyzny zostaną urzeczywistnione.

Rzym 31 stycznia. W izbie deputowanych zażądał Colajanni, aby dyskusyę nad motywami jego wniosku o ustanowienie parlamentarnej ankiety dla zbadania stosunków banków włoskich postawiono na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia. Prezes gabinetu Giolitti sprzeciwił się temu żądaniu, poczem izba je odrzuciła.

Na zapytanie dep. Montagna oświadczył prezes ministrów, że nieprawdziwem jest doniesienie jednego z pism neapolitańskich, jakoby rząd zamierzał prosić o zezwolenie na sądowe ściganie wielu deputowanych, zaś minister spraw zagranicznych oświadczył na interpelacyę w sprawie wrzekomych okrucieństw popełnianych na poddanych włoskich w Brazylii, że każe tę sprawę zbadać i ewentualnie zażąda satysfakcyi w drodze dyplomatycznej.

Rewizya banków włoskich ukończoną zostanie prawdopodobnie w pierwszych dniach lutego. Zapewniają, że przy tej rewizyi znaleziono manipulacyę wszystkich banków, z wyjątkiem Banca Romana, w zupełnym porządku.

Grac 31 stycznia. W kopalniach węgla w Skali, w powiecie Windischgraetz, nastąpiła eksplozya. Czterech górników zabitych, pięciu lekko, pięciu zaś ciężko rannych. Jednego nie odszukano.

Budapeszt 31 stycznia. Wekerle wyjeżdża dziś do Wiednia, gdzie zabawi dwa dni. Ma on tam odbyć z ministrem Steinbachem konferencyę w sprawie wielu spraw finansowych, będących obecnie na porządku dziennym.

Londyn 31 stycznia. Dzisiejsza mowa tronowa stwierdzi, iż stosunki Anglii z innymi mocarstwami są przyjaźne i zapowie, iż pierwszą sprawą, jaka przedłożona zostanie obecnej sesyi, będzie projekt o „samorządzie irlandzkim". W końcu zaznaczy także mowa, iż wysłanie wojsk do Egiptu nie jest wcale dowodem jakoby Anglia zmieniła swą politykę względem niego.

Przyjechali do Lwowa

dnia 31 stycznia 1893.

HOTEL FRANCUSKI. J. Czaykowski z Pietniczan. J. Bramer z Wiednia. M. Quinz z Wiednia. K. Wiktor z Zarszyna. K. Zak z Wiednia. A. Winter z Wiednia. D. Kohn z Pragi. J. Scharf z Bielska. N. Berlizheimer z Moguncyi. A. Wirowski ze Strzelisk. L. Wallach z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 31 stycznia godz. 2. min. —

Akcye kred.	324·35	Obligi propinacyjne galic.	96·75
Alpiny	53·50	Wiedeńskie losy kom.	170 —
Kredyty węg.	372·—	Akcye tyton.	169·50
Anglobanki	153·—	Gal. obl. indem.	105·—
Uniony	248·50	Elbethale	232·50
Ludwiki	221·—	Länderbanki	237·90
Nordbany	286·75	Renta zł. węg.	114·65
Lombardy	94·—	Bankvereiny	120·10
Losy tureckie	45·10	Renta węg. p.	102·40
Staatsbahny	297·25	Ruble	124·12
Czerniowieckie	255·75		

Usposobienie spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej 31 stycznia 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego	płacą		żądaj	
bez dywidendy.				
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	219	—	222	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	253	—	256	—
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	340	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	101	10	101	80
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	108	60	109	30
Banku hip. 4½% wa. lok. w 50 lat.	99	75	100	45
Banku krajowego 4½% wa.	100	—	100	70
Tow. kred. galic. 4% niezkr.	97	70	98	40
„ „ „ 4% „ 41½	95	90	—	—
„ „ „ 4% „ 52 l.	100	60	101	30
„ „ „ 4 „ 58	95	60	96	30
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	105	—	—	—
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	50	97	20
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	—	102	70
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101	80	102	50
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	108	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	99	50	—	—
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	24	—	26	—
„ „ Stanisławowa	40	—	44	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.63		5.73	
Napoleondor	9.56		9.66	
Półimperyał rosyjski	9.70		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.22—		1.27—	
„ „ papierowy	1.23—		1·25—	
100 marek niemieckich	59.——		59·—	

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1892 według zegara lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa	p. pośp.	p. pośp.	p. osob.	p. osob.	p. osob.	p. miesz.
Z Krakowa	6 01	2 50	9 10	6 46	9 32	
Z Muszyny Krynicy via Tarnów	.		9 10			
Z Podwołoczysk i Brodów (na dworzec główny)	.	3 57	9 10	7 21		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworzec Podzamcze		2 45	9 17	6 55		
Z Suczawy	10 09	.	7 56	1 42	7 06	
Z Kimpolungu	10 09	.	7 56			
Z Radowiec	10 09	.	7 56	.	7 06	
Z Hliboki	10 09	.			7 06	
Z Nowosielicy		.	7 56		7 06	
Z Słobody rungurskiej	10 09	.	.	1 42	7 06	
Z Husiatyna via Halicz	10 09	.		1 42	.	
Z N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja	.	.	9 16	2 35	.	
Z Suchy, N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja	.	.	9 16			
Z Chyrowa, Stanisławowa i Stryja	.	.			1 41	
Z Pesztu, Miskolcza, Munkacza, Ławocznego i Stryja	.	.	9 16	.	1 41	
Z Sokala i Bełzca	.	.				4 48
Z Sokala i Rawy ruskiej	.	.		.		8 32
Odchodzą ze Lwowa:						
Do Krakowa	10 41	8 07	5 26	11 01	7 56	
Do Muszyny-Krynicy via Tarnów		.		.	7 56	
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca głównego)	2 52	.	9 41	10 26		
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3 10	.	10 02	10 52		
Do Suczawy	6 36	.	9 56	3 22	10 56	
Do Husiatyna via Halicz	6 36	.	.	3 22		
Do Słobody rungurskiej	6 36	.	9 56	3 22	10 56	
Do Nowosielicy	6 36	.	9 56	.	10 56	
Do Hliboki	6 36	.	9 56			
Do Radowiec	6 36	.	9 56		10 56	
Do Kimpolunga	6 36	.		3 22		
Do Stryja, Chyrowa, N. Sącza i Suchy		.	6 16	10 21	7 41	
Do Stryja i Stanisławowa		.		10 21	7 41	
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Miskolcza i Pesztu	.	.	6 16	.	7 41	
Do Bełzca i Sokala	.	.		.		7 51
Do Sokala i Rawy Ruskiej						9 36

Uwaga: Godziny podkreślone linijką oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

138)

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

Pawła d'Aigremont.

(Ciąg dalszy).

IX.

Szczęśliwa

W parę dni hrabia i hrabina de Clavières, stosownie do postanowienia, przybyli do Vichy z Janiną, Secondą i całą służbą indyjską.

Andrzej Bascou i Rajmund Sintély pozostali w Paryżu dla dozorowania księcia i księżny de Roquebrune.

Proces o sukcesyę, wytoczony przez Magdalenę Klarze, postępował pośpiesznie.

W Vichy, po ulokowaniu się w najpierwszym hotelu, dla Magdaleny i Janiny, przejętych jedną myślą tylko, rozpoczęło się życie pełne cierpienia i obawy. Bezustannie po za domem, w kasynie, parku i wszędzie, gdziekolwiek była jaka zabawa, przyglądały się małym żebraczkom i kwiaciarkom, w które kąpielowe miejscowości Francyi obfitują nie mniej od Paryża.

Ileż doznawały wzruszenia, gdy w której z tych biednych istot widziały zdaleka postawę i wzrost Loulou! Wtedy obie siostry mleczne biegły ku niej i doznawały zawodu.

Pewnego dnia Janina spostrzegłszy kwiaciarkę w parku, kupiła bukiecik fijołków i zapłaciwszy hojnie, zapytała:

— Czy nie mogłabyś moje dziecko, udzielić mi pewnego objaśnienia?

— Jeżeli tylko potrafię — odrzekła dziewczynka uradowana — to z największą chęcią.

— Czy jesteś tutejsza?

— Nie, proszę pani, przybyłam z Paryża.

— Ah!... a w której dzielnicy mieszkałaś tam?

— W Montrouge.

Serce Janiny ścisnęło się boleśnie. Jeszcze jeden zawód. Zapytała jednak:

— W Montrouge czy w Butte-aux-Cailles?

— Nie, proszę pani, w Montrouge. W Butte-aux-Cailles przebywa trupa Bechciniego i Pia Dallone.

— A ty nie należysz do niej?

— Na szczęście, nie.

— A czy znasz tamte dzieci?

— Znam wszystkie.

— Czy nie ma ich tutaj?

— Nie ma jeszcze, ale przyjdą.

— Kiedy?

— Nie wiem, wszakże niedługo, gdyż pierwszy sezon jest najlepszy. Później przyjeżdżają tylko osoby z prowincyi, a od nich zarobek mały. Pia Dallone wie o tem, oho! sprytna ona. Musiała chyba zachorować w drodze, gdyż inaczej byłaby już tutaj.

Janina dała dziewczynce sztukę złota.

— Ja tu kilka razy na dzień przychodzę — rzekła — czy zechcesz, moje dziecko, zawiadomić mnie, jak tylko Pia Dallone przybędzie z dziećmi, ale nie mówiąc o tem nikomu?

— Niech pani będzie spokojna. Bardzo dobrze.

Dziewczyna, uszczęśliwiona tak dobrym zarobkiem, oddaliła się przyrzekając sobie w duszy zaspokoić życzenie tak dobrej i hojnej pani.

W hotelu Janina powiadomiła Magdalenę o czem się dowiedziała.

Uspokoiły się więc nieco, z czego korzystając Ryszard, skłonił je do wycieczek w okolice, dla rozrywki.

Andrzej Bascou co parę dni powiadamiał o stanie sprawy w Paryżu. W jednym z ostatnich listów doniósł właśnie, że w domu ks. de Roquebrune musiało zajść coś ważnego i że księżna zachorowała poważnie. Przyczyny nie wiedział, domyślał się tylko, że zapewne wiadomość o bliskim terminie rozstrzygnięcia sprawy, wytoczonej przez Magdalenę o sukcesyę, oddziałała na nią tak silnie.

W kilka dni nadszedł list i od braci Sintély, w którym donosili, że termin sprawy wyznaczony został na następny piątek i prosił Ryszarda o przybycie, dla porozumienia się osobistego co do szczegółów obrony.

— Obawiam się — oświadczył Ryszard Magdalenie — byś, pozostawszy tu sama z Janiną, nie popełniła jakiej nieostrożności...

Hrabina zapewniła go, że może jechać spokojny.

W pierwszych dniach po wyjeździe p. de Clavières nic ważniejszego nie zaszło.

Pewnego wieczoru pogoda była tak piękna, że hrabina uważała za rzecz możliwą zaspokoić kaprys swej córki bez narażenia jej słabych płuc i udać się na spacer nad brzeg rzeki. Wspaniały, rozciągający się nad jej brzegiem park, o starych i olbrzymich drzewach, przez gałęzie których z trudnością przedzierały się promienie księżyca, pomimo swej piękności i uroku poetycznego, był w tej chwili zupełnie pusty.

Magdalena i Janina, obdarzone głębokiem uczuciem poetycznem, uległy wkrótce czarowi przyrody i w milczeniu postępywały obok siebie. Na kilka kroków przed niemi biegła wesoła i ożywiona Alicja.

Nagle Janina uczuła, że opierająca się na jej ramieniu ręka Magdaleny zadrżała.

— Czy słyszałaś? — zapytała ta ostatnia, zatrzymując się.

— Co takiego?

— Tam — odrzekła pani Clavières, wskazując olbrzymie, wznoszące się przed niemi drzewo — jakieś dziecko jęczy.

— Nie słyszałam — odrzekła Janina, przysłuchując się uważnie.

W tej chwili, jak gdyby dla potwierdzenia słów Magdaleny, dał się słyszeć cichy, żałosny głos dziecięcy.

Janina pobiegła natychmiast i ukląkłszy, zaczęła odchylać gęste gałęzie krzewów, otaczających stary jesion.

— Miała pani racyę — zawołała po chwili — rzeczywiście coś tutaj leży.

Teraz nachyliła się i Magdalena i spostrzegła zawiniątko łachmanów. Z kupki tej, mającej kształt kuli, wydobywał się cichy, żałosny głos, jak gdyby małego szczenięcia.

— Boże mój! — zawołała hrabina — ależ to jest dziecko!

Janina wzięła je na ręce, wyniosła z gąszczu krzewów i siadłszy na ławce, położyła je na swych kolanach.

Gdy na odkrytą twarz dziecka padły promienie księżyca, z ust obu kobiet wyrwał się jeden okrzyk:

— To Loulou!

Rzeczywiście była to Loulou, blada, nieruchoma z przymkniętemi oczyma.

Magdalena, idąc za popędem silniejszym nad jej wolę, uklękła przed biedną żebraczką, zaczęła ją rozcierać, ogrzewać jej ręce, wołać po imieniu i okrywać twarz pocałunkami.

Nadbiegła Alicya i przyjaciółkę swą poznała natychmiast.

— Mamo, ależ to Loulou! Dla czego ona nic nie mówi? Co jej jest takiego?

Gdy obie kobiety, zajęte ratunkiem, nie odpowiadały, uklękła obok matki i zaczęła chuchać na zlodowaciałą rękę żebraczki.

Nakoniec dziewczynka wydała głębokie westchnienie i otworzyła oczy.

— Loulou... — wołała Alicya — Loulou moja droga, czy poznajesz mię, przemów do nas!... To my! Ja, Alicya, i Nini i mama...

Niebiański, pełen zachwytu uśmiech zakwitł na bladych ustach żebraczki.

— Mama! — powtórzyła tonem wydobytym z pod duszy, wpatrując się w Magdalenę.

Przymknęła znowu oczy i zemdlała.

Ten jeden wyraz, wypowiedziany takim rzewnym głosem, poruszył Magdalenę do szpiku kości. Loulou! ta Loulou tajemnicza i ukochana w tajnikach jej serca, w rysach której tyle razy pochwyciła podobieństwo do hr. de Cypières, to dziecko, na widok którego miotały nią przeczucia i cierpienia, odszukane znowu, nazwało ją matką!

Janina spostrzegła jej wzruszenie i jakkolwiek podzielała je w części i sama, ale praktyczniejsza od swej siostry mlecznej, oprzytomniała prędko i odezwała się:

— Nie czas teraz rozczulać się. Widzę, że pani chce zająć się tem dzieckiem i wziąć je do siebie, bez zwrócenia niczyjej uwagi.

— A naturalnie.

— Więc niech pani posłucha mojej rady. Odprowadzę Alicyę do domu. W tej chwili w hotelu prócz odźwiernego nie ma nikogo, nikt więc z obcych nas nie spostrzeże. Następnie powrócę, zabrawszy z sobą rzeczy, potrzebne dla Loulou i ubranie Alicyi. Wezmę z sobą jednego z naszych Hindusów, który zaniesie ją na rękach, jeżeli nie będzie mogła iść sama. A ponieważ często odnosi się w ten sposób uśpioną Alicyę, wszyscy więc będą myśleli, że to ona i nikt nie zauważy przybycia do nas Loulou. Do apartamentu pani, oprócz Secondy i naszych Hindusów, nikt nie wchodzi, nie ma więc czego obawiać się.

— Ale cóż zrobimy z nią później?

— Niech pani się nie troszczy, na wszystko będzie czas. Naprzód zabierzmy ją do siebie, aby nikt nie spostrzegł.

— Ale pamiętaj, że, gdym ją odszukała nareszcie, to nie rozstanę się z nią już nigdy, nigdy...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.